Nr. LXIII Wrzesień 1938

# NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 927-61

**Prenumerata**

wynosi rocznie zł. 8, półrocznie zł. 4

**Dziesięć zeszytów rocznie**

**Broszury dodatkowe otrzymują Prenumeratorzy gratisowo**

Cena pojedyńczego zeszytu 1 zł.

Nr. LXIII Wrzesień 1938

# NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 9.27-61

Druk. „LECH“ Warszawa, Koszykowa 33 Tel. 8.90-66.

## TREŚĆ

# Kanonizacja Królowej Jadwigi

Dla grona osób z pod znaku „Naszej Przyszłości", które w marcu 1931 roku podniosły samorzutnie sztandar największej polskiej Królowej, stanowi niewątpliwie wielkie i radosne zadośćuczynienie uroczysta deklaracja Kapituły Krakowskiej, ogłoszona w sierpniu b. r. Deklaracja ta bowiem, o charakaerze kościelno-oficjalnym, dowodzi, jak daleko posunęła się już ta niezmiernie doniosła a trudna sprawa, o której realizację nadaremno kusili się raz po raz Polacy w ciągu przeszło pięciuset lat.

Oto przedewszystkiem treść rzeczonej deklaracji Kapituły:

**„Kapituła Metropolitalna Krakowska, w której rocznikach ręka jednego z duchownych katedry skreśliła w dniu zgonu Królowej Jadwigi przepiękne o Niej wspomnienie w słowach tchnących żalem i podziwem: „Pani Jadwiga, Królowa Polski, Obrończyni Kościoła, wzór wszystkich cnót, której równej nie widziano teraz na całym świecie w rodzie człowieczym, pokolenia królewskiego, zmarła dziś po południu",**

**która w swem archiwum przechowuje dotąd dwa akty z XV wieku (z r. 1419), będące wymownym świadectwem czci religijnej, jaką najbliższe już pokolenie otaczało jej grobowiec i za jej wstawiennictwem wypraszało sobie łaski u Boga, oświadcza, że:**

**żywi najgłębszą cześć dla Świętobliwej monarchini, jako dla hojnej dobrodziejki katedralnego kościoła krakowskiego, zbożnej fundatorki Kolegium Psałterzystów, którego zadaniem miało być pomnożenie chwały Bożej nieustannem nabożeństwem, tak we dnie, jak i w nocy, przez śpiewanie psalmów Dawidowych i innych pieśni nabożnych; o której szczodrobliwości dla tej świątyni świadczą po dziś dzień cenne dary w skarbcu kateralnym, z których najcenniejszym jest t. zw. racjonał, osobliwa odznaka biskupów krakowskich, własnoręczne dzieło Królowej, całe perłami naszyte, — oraz wyraża najgorętsze pragnienie, aby ta Apostołka na terenie wyznaczonym (swem życiem stwierdza, że ją Duch Chrystusowy naws-**

**kroś przeniknął), ta Matka ubogich, Opiekunka sierot i Miłośnica ludu wiejskiego, któremu łzy litościwą ocierała dłonią, ta niezmordowana krzewicielka Królestwa Bożego, co jeszcze na śmiertelnej pościeli stygnącą ręką przekazała całą swą majętność na szerzenie światła i prawdy chrześcijańskiej, żyjąca dotąd w całej glorji swej świętości,**

**mogła dostąpić najrychlej tej aureoli, którą Chrystus przez Namiestnika Swego wieńczy wiernych Swoich wyznawców i odbierać cześć na naszych ołtarzach jako święta Opiekunka Polski Katolickiej i Orędowniczka Rzeczypospolitej".**

W różnych krajach odbywają się w dobie powojennej — na podstawie nieomylnych wyroków Stolicy św. — beatyfikacji i kanonizacje. Tych, którzy w poprzedniej epoce, lub nawet w dawniejszych epokach, przyczynili się do utwierdzenia Opoki Piotrowej swą działalnością albo męczeństwem. Jest to wszystko nietylko odruchem sprawiedliwości, ale w równej mierze także i odruchem głęboko odczutej kontrakcji przeciw rozpanoszonemu obecnie na całym świecie bezbożnictwu i jeszcze gorszemu od bezbożnictwa na dalszą metę materjalizmowi i ultra-realistycznemu geszefciarstwu. Prędzej bowiem nawróci do Boga podniecony chwilowo obrazoborca, niż faryzejsko-religijny geszefciarz-aktualista, który wprawdzie nie walczy z religją, a nawet robi ostentacyjnie w każde święto akt obecności w kościele, ale wyznaje naprawdę tylko jedną wiarę: w karjerę i w pieniądze — molocha.

Bardzo podniosłym aktem, zarówno religijnym jak i polskim — narodowym i państwowym — była niedawno kanonizacja i powrót do Polski świętych zwłok męczennika — Andrzeja Boboli. Całkiem słusznie współdziałały przy tem także najwyższe świeckie Czynniki państwowe. Wszak chodziło nietylko o tryumf religji w tym nawskroś zmaterjalizowanym XX-ym wieku, ale i o stwierdzenie misji Polski, jako przedmurza Wiary św. na kresach wschodnich, której Święty Męczennik był jednym z wielkich pionierów.

Ale — co w niczem oczywiście nie umniejsza jego wielkich zasług i męczeństwa — był św. Andrzej Bobola człowiekiem, swej świętobliwej misji specjalnie poświęconym: był księdzem, zakonnikiem i męczennikiem. To też jego kanonzacja — notabene po bardzo dawnej już beatyfikacji — była sprawą, samą przez się zrozumiałą, nie nastręczającą dzisiaj już żadnych kwestyj, wątpliwości, ani jakichkolwiek sprzeciwów, zwłaszcza sprzeciwów natury politycznej.

Inaczej, całkiem inaczej, ma się sprawa z tym wielkim postulatem Polski katolickiej oraz polsko-katolickiej racji stanu — obok postulatu głębokiej wiary — jaką stanowi od przeszło pięciuset lat sprawa kanonizacji tak wybitnej, wprost genjalnej politycznej postaci, jaką jest i pozostanie w oczach Polski i historycznie wykształconych sfer Europy i Nowego Świata promienna osobistość Królowej Jadwigi.*). Polityka bowiem państw i narodów obfituje aż zanadto w dyplomatyczną, a nieraz i wewnętrzno-polityczną „rację stanu" oraz „rację majestatu głowy państwa", które to obie racje pokrywają niestety zbyt często różne wielkie nieprawości, popełniane w imię właśnie owej państwowej racji stanu, lub tolerowanej pobłażliwie u głów państwa, gdy za to samo zwykły obywatel uległby znacznej karze, przepisanej kodeksem karnym.

To też historia rządów najwybitniejszych monarchów, dyktatorów, nawet tych, którzy nieraz świetnie wychodą na kartach historji, obfituje w niemoralności i zbrodnie — w sensie pospolitego kodeksu karnego — które jednak owym panującym ze względu na prestiż państwa i „ciężar obowiązków władzy" pobłażliwie są traktowane, a nieraz nawet wprost chwalone że względu na wyższy interes państwowy. Nie szukając daleko, jest pierwszy król polski, Bolesław Chrobry, dla nas wielkim, choć dla racji stanu — sprężystej unifikacji władzy i państwa — wyrżnął swoją rodzinę. A przecież nikomu z nas przez myśl nie przyjdzie traktować tego wielkiego budowniczego Polski piastowskiej za mordercę. Racja stanu!!

Otóż Królowa Jadwiga, aczkolwiek jedna z najwybitniejszych postaci politycznych z XIV-go wieku, różni się zasadniczo, integralnie w metodach realizacji wielkiej racji stanu Polski i cywilizowanej Europy wogóle. Niemasz bowiem w życiu i polityce Jadwigi owego, po dziś dzień miarodajnego w polityce państw i narodów momentu, że cel uświęca środki. A jeżeli taki moment w życiu Jadwigi okazywał się nieuniknionym i dla polskiej racji stanu niezbędnym, to całe cierpienie brała świątobliwa Królowa na siebie. W życiu politycznem i panowaniu Jadwigi niemasz ciemnych stron i trupów, poświęconych państwowej racji stanu, ale wszelkie przykrości i cierpienia w ta-

---

*) Można mówić i o „Nowym Świecie" skoro przed pięciu laty p. Charlotte Kellog wydała w Stanach Zjednoczonych — z pomocą oczywiście szeregu polskich uczonych — przepiękną monografię o Królowej Jadwidze, opartą na ścisłych źródłach historycznych.

kich wypadkach brała Jadwiga heroicznie na siebie. Poczynając od rezygnacji z młodocianej miłości i zamężcia z „dzikim poganinem“ Jagiełłą, o którym jej zachodni rycerze niestworzone okropności prawili.

Tem właśnie wyróżnia się djamentalnie wielka — wprost niezwykła, polityczna postać tej Monarchini, od której panowania pojęcie „Polski mocarstwowej“ tak dziś popularne, wogóle dopiero się datuje. Jadwiga jest dla nas i dla wykształconego świata politycznego wyjątkowym prototypem polityki nawskroś uczciwej, wysoce moralnej i heroicznie ofiarnej. Tego zaś — wyznajmy to otwarcie bijąc się w piersi — przed nią, ani po niej prawie nie było. Ale właśnie dlatego polityka ta i działalność społeczna Jadwigi okazała się tak skuteczną i wydała tak potężne owoce. Rzec można śmiało, że bez krótkiej, niestety, ingerencji Jadwigi w losy polskiego narodu, Polska nie byłaby wielkiem mocarstwem XV-go i XVI-go wieku, lecz co najwięcej szczupłem państwem w rodzaju np. Czech, ograniczonem do okrojonej Wielko-Małopolski.

„Ojczyzno, jakież zbrodnie popełniają się w twym imieniu!“ mówi poeta. Otóż tej właśnie „racji stanu“ były życie i działalność Jadwigi wręcz antytezą. U niej dobro państwa budowało się przez heroiczne cnoty. I dlatego, właśnie dlatego, Polska stała się potężnem mocarstwem, nie mówiąc już o tym cudownym zbiegu okoliczności, że za jej epoki spoczął obraz Najświętszej Dziewicy częstochowskiej na Jasnej Górze.

Stąd też symbol Jasnej Góry jest prawdziwą, najgłębszą religijną i polityczną racją stanu Polski, a świetlana postać Królowej Jadwigi jaśnieje i jaśnieć będzie zawsze z niezmierną siłą atrakcyjną wszystkim, którzy są naprawdę Polakami i którzy zdolni są, choćby nawet tylko jako politycy, zastanowić się głębiej nad istotnemi podstawami i racją bytu naszej Ojczyzny.

Bo niech grają w trąbki hałaśliwie i prawią nam, co zechcą, modni politycy i zarozumiali w materjalistycznem pojmowaniu dziejów patrjoci — to wszystko złuda, która, gdyby ona tylko o losach Polski stanowiła, prysnąć może przy pierwszym, technicznie silnym naporze wrogów. Ale zawsze zwycięską, niewzruszoną przez najstraszniejsze nawet ataki tanków i samolotów, pozostanie katolicka racja stanu Polski, ze swym geograficznym symbolem w twierdzy jasnogórskiej i z osobistym symbolem cnót heroicznych i opartej na nich genjalnej polityki Królowej Jadwigi.

Oto, co my, nowocześni Polacy, pogrążeni w grubym materjaliźmie, w dyplomatycznych kluczeniach i w rozwydrzonej jałowem partyjnictwem nienawiści bliźniego, świadomie lub podświadomie doskonale odczuwamy i co wywiera na nas niezmierną siłę przyciągającą. Czujemy dobrze, że współczesne blagi między-narodowo-dyplomatyczne Polski nie zabezpieczą i prawdziwego mocarstwa nam żadną miarą nie stworzą. Czujemy, że tępe upory i waśnie partyjne także nic pozytywnego nie są w stanie stworzyć. Czujemy też i wiemy z długiego doświadczenia, że ustawiczna pogoń za złotem — czyli tak zwany realizm gospodarczy — również złota nam nie przysporzy, a tylko pogłębia ustawicznie nasz stan posiadania, opłacalność pracy i kryzys gospodarczy. Odczuwamy to wszystko instynktownie — i dlatego nie mniej instynktownie zwracamy się o pół tysiąca lat wstecz do przykładu tej wielkiej monarchini i świętobliwej postaci, która szczęście, dobrobyt i mocarstwową ekspansję Polski całkiem innymi środkami skutecznie osiągnęła, niż my dzisiaj naszym karłowatym i niemoralnym „realizmem" politycznym i gospodarczym.

I teraz oto ziszcza się wielki „sen ojców naszych". Sprawa kanonizacji królowej Jadwigi — a z tem razem i moralnego podniesienia narodu polskiego pod każdym względem — posunięta została formalno-kanonicznie i faktycznie tak daleko, jak nigdy przed tem. A dowodem tego właśnie powyższa, oficjalna deklaracja krakowskiej Kapituły Metropolitarnej, która — przy wiadomej ostrożności Kościoła w takich zwłaszcza sprawach — nie byłaby ogłoszona dla informacji i stymulacji wiernych, gdyby pozostały jakiekolwiek wątpliwości co do pomyślnego przeprowadzenia procesu kanonizacji. My, członkowie stałego Komitetu Szerzenia Kultu Królowej Jadwigi, działającego już prawie od ośmiu lat, wiemy najlepiej, jak ostrożnie odniosły się od początku miarodajne sfery duchowne do całej tej sprawy. Wiemy, jakie wymagania postawione zostały z ich strony polskiej nauce historji celem objektywnego rozstrzygnięcia kwestji pewnych wątpliwych uczynków, świętobliwej Jadwidze przez nieprzychylną a powierzchowną tradycję zarzuconych. I może polska nauka ze szlachetną dumą sobie powiedzieć, że z bezsporną pewnością, na podstawie najoczywistszych faktów i danych, rozstrzygnęła zwycięsko nieskalaną linię życia Jadwigi i zdruzgotała wszelkie złośliwe insynuacje. Ostatecznie mówiąc — bo prawda nie lęka się pełnego światła — że jeżeli dziś ktoś jeszcze, swój lub obcy, śmiałby powtarzać

niecną plotkę o rzekomym „romansie" Jadwigi z Wilhelmem w korytarzach klasztoru franciszkańskiego w Krakowie, ten złożyłby tylko jaskrawy dowód bezmyślnego nieuctwa, zupełnej nieznajomości faktów, dokumentów, a przedewszystkiem dziewczęcego wieku (jedenaście i pół lat) przybycia Jadwigi na tron Krakowski.

I dlatego z apodyktyczną już pewnością, popartą zdecydowanem stanowiskiem nowoczesnej wiedzy historycznej, oraz nie mniej zdecydowanem obecnem stanowiskiem w tej sprawie Kościoła, może Komitet nasz iść naprzód ze śmiało rozwiniętym sztandarem aż do pomyślnego skutku — to jest do oczekiwanej z gorącem upragnieniem chwili, gdy Bazylika św. Piotra w Rzymie zabłyśnie tysiącami lamp na kopule, co zawiadamia świat zewnętrznie o wypowiedzianym nieomylnie wyroku Stolicy Apostolskiej o kanonizacji nowego Świętego.

A błyszcząca ta z tej wielkiej okazji kopuła głównej Bazyliki świata katolickiego będzie zarazem błogosławionem wznowieniem prastarego drogowskazu prawdziwej polskiej misji i racji stanu. Bo napróżno usiłowałby ewentualnie jakiś kościelny rygorzysta ograniczać w opinji i uczuciach narodu polskiego doniosłość upragnionego aktu kanonizacji Jadwigi do granic znaczenia li tylko kościelnego. Powiedzmy odrazu jasno, że tego rodzaju zacieśnienie naszego horyzontu stanowczo się nie powiedzie. Wszak Królowa Jadwiga jest jeszcze więcej dla Polaków, niż Joanna D'Arc dla Francuzów — jest symbolem osiągnięcia na moralnej drodze politycznej wielkości ojczyzny. I stąd też jest pierwszorzędnym zadaniem Kościoła w Polsce i polskich katolików wogóle należyte wykorzystanie doniosłego aktu kanonizacji Polskiej Królowej dla celów także i politycznych: mianowicie dla moralno-politycznego podniesienia polskiego społeczeństwa, zwalenia wszelkich złych mocy (komunizm, masonerja i rozwydrzone nienawiścią bliźniego politykierstwo) i szczerej konsolidacji narodowej przynajmniej na platformie historyczno-religijnej. Po dokonaniu kanonizacji królowej Jadwigi nie może być np. takich wypadków, żeby firmowi katolicy zawierali perfidne sojusze wyborcze z socjalistami, czy innymi ateistami, li tylko dla zdobycia pewnej liczby mandatów i dyjet w parlamencie! Nie może być takich wypadków, żeby firmowi katolicy, noszący z dumą na wyłogach marynarki odznaki Akcji Katolickiej lub Sodalicji, mieli wchodzić w kompromisy socjalno-polityczne, czy wyborcze z jawny-

mi wrogami Kościoła, religji i polskości dla tego tylko, że im się ten lub ów reżim w Polsce lub minister nie podoba!

Ten błogosławiony i państwowo-twórczy rezultat moralno-polityczny musi przynieść fakt podniesienia na ołtarze największej Polskiej Królowej. W przeciwnym razie najgłębszy cel moralno-uświęcający kanonizacji Jadwigi będzie zupełnie chybiony, a raczej zejdzie do poziomu, niewiele znaczącego dla ogółu sklasyfikowania nowej świętobliwej postaci wśród wielu setek świętych imion w kalendarzu.

Aby to się w ten sposób nie stało — t. j. żeby złe lub zacięcie rozpolitykowane moce nie odniosły tryumfu przez zbagatelizowanie w oczach polskiego narodu kanonizacji Jadwigi do rzędu jakiegoś „aktu zakrystyjnego", stwierdza Komitet nasz, który ma bezsporny prymat w inicjatywie i ciągłości nowoczesnych starań o kanonizację Królowej, iż dla odrodzenia narodu polskiego pod względem moralnej i politycznej tężyzny akcja w tym kierunku z chwilą osiągnięcia najpierw beatyfikacji, a potem kanonizacji Królowej nie tylko się nie zakończy, ale wręcz przecwnie, dopiero się zacznie. Wszak najgłębsza istota naszej inicjatywy leży w tem, aby wielka i świętobliwa postać Królowej Jadwigi uczyniła dla współczesnej, niedawno wskrzeszonej i przez perfidne moce atakowanej Ojczyzny to właśnie, co uczyniła żywa Jadwiga dla Polski popiastowskiej. Chodzi nam nadto o wskrzeszenie z martwych prawdziwego, nadrzędnego Autorytetu, tak niezbędnego nietylko dla narodu polskiego, ale i dla konsolidacji Polaków, Litwinów, Rusinów i Białorusinów, jako czterech narodów, skazanych historią i położeniem geograficznem bezwzględnie na braterskie porozumienie i nawet unję na takich czy innych warunkach.

Przedewszystkiem jednak stworzenie tak wielkiego, historycznego autorytetu, stanowiącego prawdziwą arkę przymierza między kazimierzowską myślą społeczno-gospodarczą, a późniejszą jagiellońską ekspansją mocarstwową, położy kres demagogicznym eksperymentem współczesnych autorytecików karłowatych, które w dziecinnej zarozumiałości liczą początek dziejów Polski od daty swego narodzenia, czy drobnostkowego wystąpienia na arenie publicznej, politycznej lub gospodarczej, nie zdając sobie w śmiesznych swych ambicjach sprawy, że „Polska to wielka rzecz", wobec której wszyscy jesteśmy mali.

Z niezrozumienia tej doniosłej, a personalnie niemiłosiernej prawdy, wynikają wszelkie nowomodne eksperymenty i śmieszne

„mody na ludzi", po których — objektywnie mówiąc — przeważnie nic na kartach historji nie zostanie. Daleko więksi byliby ci ludzie i daleko węcej pozytywnych zasług i chwały pozostawiliby po sobie, gdyby — jak wszystkie naprawdę wybitne umysły — poczuli się małymi i skromnymi wobec Ojczyzny i wielkiej misji dziejowej Polski i nie występowali tak zarozumiale na łamach gazet i plotek warszawskich. Pokora bowiem niebiosa przebija — a o tem wielu naszych, dobrze usytuowanych, wpływowych i świetnie dotowanych rodaków całkiem zapomina. Wielu z nich nie zdaje sobie przez to nawet sprawy, że chcąc być patrjotami, mądrzejszymi od Boga i religji, stają się w gruncie rzeczy bezwolnemi narzędziami „obcych agentur". I ten stan rzeczy, przybrany w biało-amarantowe chorągiewki, nazywa się u nas nowoczesnym, postępowym, rewolucyjnym patrjotyzmem.

Wreszcie — ale wcale nie w ostatnim rzędzie — chodzi nam w podjętej od ośmiu lat akcji kanonizacji Jadwigi o bezpośrednie, widome, skuteczne zwalenie areligijnego, czy nawet antyreligijnego szału, jaki opanował świeckie nasze „partyjnictwo" pod wpływem atrakcyjnych zawsze dla Polaków „nowinek", płynących właściwie nie tyle od barbarzyńskiego, bolszewickiego wschodu, ile przedewszystkiem od „cywilizowanego", masońsko-żydowskim materjalizmem strawionego zachodu. Dla rodaków naszych, przenikniętych tym duchem rozkładowym i świadomie lub podświadomie posłusznym rozkazom mafij genewskich, czeskich i innych, albo przynajmniej własnemu, krajowemu, złotemu cielcowi, kanonizacja takiej postaci, jak Królowa Jadwiga, jest bardzo nie na rękę. To też z tych sfer słychć niekiedy takie np. ironiczne powiedzonka: „Ech, poco Jadwigę kanonizować, przecież wiadoma rzecz, że romansowała z Wilhelmem!" I takie zarozumialcze bzdury plotą ludzie upstrzeni orderami, mianowani przez dziennikarzy za „wybitnych" i którym się zdaje w komicznym aktualiźmie, że w nich wcielił się duch dziejów Polski!

Wszystko to ustąpić musi przed nadrzędnym autorytetem kanonizowanej Jadwigi, którego dzisiejsza nasza ojczyzna więcej potrzebuje, niż kiedykolwiek przedtem. Bo życie i dzieło tej niepospolitej królowej świeci nam zarówno cnotami heroicznemi, jak i wskazuje bardzo głęboko i skutecznie pojętą i realizowaną polską rację stanu. Ale rację stanu moralną, wielką, dla innych ludów atrakcyjną, a nie dzisiejszą dema-

gogiczną, chwiejną i krótkoterminową. Z tych wszystkich względów podnosimy sztandar Królowej Jadwigi — nie tylko dla tryumfu Kościoła, ale również i dla gruntownego odrodzenia narodu polskiego i polskiej misji dziejowej.

Dr. *Jan Bobrzyński*
Prezes Komitetu Szerzenia Kultu
Królowej Jadwigi.

# Postępowa bolszewizacja Czech

Z rezultatu wyborów do gmin wiejskich, które odbyły się niedawno w Czecho-Słowacji, wynika, że znowu wzmogły się głosy stronnictwa komunistycznego, co wymownie świadczy o dalszem, progresywnem szerzeniu się komunizmu w tym arcy-sztucznym tworze państwowym. Tak bowiem w stolicy, jak i w całem państwie, kierowane przez komunistów stronnictwa t. zw. czeskiego frontu ludowego odniosły decydujące zwycięstwo.

Aby fakt ten jednak nie wywołał przerażenia zagranicą i nie otwierał oczu Europie na czeską rzeczywistość, nie ogłosiła Praga po dziś dzień jeszcze rezultatu wyborów! Fakt, może jedyny, a conajmniej bardzo rzadki na całym świecie, który najlepiej świadczy, czem jest w istocie „imperjum czesko-słowackie".

W samej Pradze wyniki wyborów były następujące:

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| Komuniści | 190.374 | głosów i | 17 | madatów |
| socjaliści | 153.344 | „ | 14 | „ |
| czescy „narodowi" socj. | 293.430 | „ | 26 | „ |

„Praski poledni list" (nr. 142 z 23.V.38) uwypuklił ten rezultat wyborów w artykule p. t. „Zwycięstwo lewego frontu w Pradze". I miał rację, gdyż jest to rzeczywiście druzgocące zwycięstwo bolszewików i zbolszewizowanych pod ich batutą innych stronnictw. Inne stronnictwa otrzymały wprost nikłe rezultaty, a szczególnie czeskie katolickie stronnictwo ludowców ks. Szramka, co nadto jest tem boleśniejsze, że np. prasa agrarjuszów nie bez podstawy rzeczowej zalicza 7 mandatów praskich tego niby katolickiego stronnictwa do komunizującego frontu ludowego!

Ideowy wódz czeskich „narodowych" socjalistów, słynny senator Klofacz, który pobierał już od carskiej Rosji łapówki na rzecz moskalofilskiej propagandy w przedwojennej Austrji,

ogłosił przed paru laty w swym organie praskim „Czeskiem Słowie" — że gdyby Rosja, mniejsza o to, czy biała, czy czerwona, miała z kimkolwiek popaść w zatarg wojenny, to miejsce nowoczesnej Czecho-Słowacji może być jedynie i wyłącznie przy boku Rosji.

W tem twierdzeniu Klofacza przebija się — śmiało rzec można — urobiona przez dziesiątki lat mentalność narodu czeskiego. I ten fakt bezsporny, pozadyskusyjny, oczywisty na każdym kroku, winien chyba otrzeźwić naiwnych polskich „słowianofilów", którzy wciąż jeszcze wierzą, że jakieś archeologiczno-słowiańskie pobratymstwo czesko-polskie dopomóc nam może w walce z jakimkolwiek wrogiem.

Mentalność ta, której dał nieraz wyraz taki rdzennie czeski ideolog, jakim jest Klofacz, ułatwia nam zrozumienie tego zaiste dzikiego i niezrozumiałego dla polskiej psychiki sojuszu, jaki istnieje między Pragą a „jakąkolwiek" Moskwą. Ułatwia nam też zrozumienie tolerowania przez Pragę stronnictwa komunistycznego, rządzonego stuprocentowo z Moskwy, chociaż przybierającego pozory czeskiego patrjotyzmu. Wszak sprycciarze bolszewiccy w Czechach zdołali przybrać się obecnie w szaty jednego z najbardziej „patrjotycznych" stronnictw czeskich i w tym sensie otumanić różnemi publicznemi deklaracjami i deklaracjami czeską publiczność, że są istotnie najbardziej patrjotycznem stronnictwem, któremu zależy i chodzi nadewszystko o egzystencję państwa czesko-słowackiego.

Aby w coś podobnego dzisiaj jeszcze wierzyć, trzeba być chyba tylko zdezorjentowanym od wieków Czechem, który po bitwie pod Białą Górą zatracił zupełnie czystą myśl narodową i gra odtąd bezwolną, płatną rolę lancknechtów najpierw niemieckich, potem austrjackich (rzeź galicyjska w r. 1846), potem carskich, wreszcie bolszewickich. Kto wie — mówimy to bardzo na serjo — czy może nie zadługo nie staną się Czesi gorliwymi lancknechtami Hitlera w jego zdobywczym pochodzie na wschód?! Ale narazie idzie Praga bezwzględnie w parze z Moskwą i to zarówno wewnątrz kraju, jak i w polityce zagranicznej. W kraju popularyzuje się sojusz z sowiecką Rosją przez różne, tendencyjne wystawy sowietofilskie, przez wyświetlanie filmów produkcji sowieckiej, przez sztukę sceniczną wyrobu sowieckiego, przez odczyty na temat błogosławieństw sowieckiego ustroju, przez różne wycieczki „naukowe" do Rosji i odwrotnie, oraz nawiązywanie stosunków „kulturalnych" z Rosją wogóle.

Wszelkie dziedziny wytwórczości są już w tym kierunku nakręcone. Wszak 7-go czerwca otworzono w Pradze wystawę fotografji z Z. S. R. R. Prasa czeska, zarówno lewicowa, jak i prawicowa robiła jej reklamę pod tytułem „*Wystawa: Nasz sojusznik Z. S. R. R.*". Wystawa ta — bardzo wymowny przejaw współczesnej czeskiej mentalności i polityki — powstała pod protektoratem oczywiście posła sowieckiego w Pradze, towarzysza (czy może ekscelencji?) S. S. Ałaksandrowskiego; oraz czeskiego „Towarzystwa na rzecz kulturalnych i gospodarczych stosunków z sowiecką Rosją". Wystawę otworzył przemową profesor uniwersytetu w Pradze, dz. Heidenreich (oczywiście „rdzenny" Czech). Przy otwarciu obecni byli wspomniany poseł pełnomocny Aleksandrowski wraz z członkami sowieckiego poselstwa, co było mniej dziwne, ale zato daleko bardziej dziwną była obecność prezesa komisji wojskowej parlamentu praskiego, posła Dawida, który właśnie świeżo powrócił z „naukowej" podróży w Rosji. Rzecz dziwna: demonstracja sztuki fotograficznej moskiewskiej w obecności przedstawiciela spraw wojskowych Republiki czesko-słowackiej!!

Zresztą sama prasa czeska zaznaczyła, że na otwarciu wystawy obecną była wielka ilość przedstawicieli czeskiego świata „kulturalnego" — a więc oczywiście dostatecznie już zbolszewizowanego.

Całkiem specjalny, nam w Polsce nie znany i nie pojęty system bolszewizacji stosunków stanowi w Czecho-słowacji systematyczne słuchanie sowieckich stacyj radjowych, z czego chętnie korzysta publiczność czeska, jako z natury swej narodowo zdezorjentowana, a więc i wywrotowa. Korzystają z tego zwłaszcza nowocześni czescy husyci — stanowiący obecnie w Czechach najpodatniejszy element i narzędzie wszelkiej akcji wywrotowej — szerząc przy tej okazji sztucznie — optymistyczne wieści o rzekomej pomocy wielomiljonowych bagnetów rosyjskich dla czeskiej republiki w razie wojny. Ostatnio rozszerzano w Czechach na tem tle nawet powielane ulotki — fabrykacji zagorzałych krajowych komunistów — przeciw panującej w tej chwili w Czechach panice wojennej, z przytoczeniem fikcyjnych przemówień Stalina i Woroszyłowa na temat „pomocy" ze strony Rosji na rzecz Czechów. Ostrawski „Poledni Denik" (nr. 126 z 31.V.38) przytacza, że krążą i takie wieści na tle akcji zbyt gorliwych propagandystów komunizmu, iż nad rumuńską granicą skoncentrowały Sowiety 30.000 samolotów-

bombardowców, które natychmiast mają startować, jeśli Czecho-słowacja zostanie napadnięta.

Każdy, nawet laik w aeronautyce, który zdaje sobie sprawę z wysiłku mocarstwa, aby mieć trzy tysiące samolotów bojowych, może łatwo ocenić gigantyczną blagę o skoncentrowaniu aż trzydziestu tysięcy samolotów rosyjskich nad samą tylko granicą rumuńską! Aby takie wieści wśród narodu czeskiego szerzyć, trzeba go uważać chyba za skończonych głupców!

Idźmy dalej. Oto łącznie z wyżej wspomnianą wystawą fotografji sowieckiej Rosji, ruszyło się z posad także inne czeskie stowarzyszenie sowietofilskie, mianowicie: „Towarzystwo przyjaciół demokratycznej Hiszpanji“, urządzając w Bernie morawskiem (Lidove Nowiny Nr. 283 z 5.VI,38) wystawę dokumentów o Hiszpanji, oczywiście tylko o Hiszpanji czerwonej. Wystawę tę przenoszono następnie w inne miejsca, a zwłaszcza do samej Pragi. Zaznaczyć przy tem należy, że tak „Towarzystwo na rzecz kulturalnych i gospodarczych stosunków z Z. S. R. R.“ jak i „Towarzystwo przyjaciół demokratycznej Hiszpanji“ składają się z komunistów i masonów. A w organizacjach tych biorą udział liczni profesorowie wyższych uczelni. Zaznaczyć też należy, że szkolnictwo czeskie, poczynając od szkół powszechnych, w składzie swych nauczycieli stoi niemal całkowicie pod wpływem haseł wywrotowych, dla spokoju i bezpieczeństwa Europy bardzo niebezpiecznych.

Nawiasem mówiąc, nie należy zapominać, że jeżeli według pruskiego, znanego twierdzenia „nauczyciel pruski wygrał bitwy pod Sadową i Sedanem“, to nauczyciel czeski stara się o zwycięstwo kominternu w Europie. Nie przesada to, ale niestety fakt realny, aż nadto stwierdzony!

Prasa czeska twierdzi z nakazu władzy, że nikt z państwa czeskiego nie może bez zezwolenia tych władz wstąpić w szeregi hiszpańskiej armji czerwonej. I takich pozwoleń rzekomo się nie udziela. Tymczasem ostrawskie „Ceskie slovo“ (nr. 160 z 11.VI.38) zdradza, że wielka liczba czechosłowaków powróciła już do kraju z Hiszpanji celem wzięcia udziału w rzekomej obronie Czecho-słowacji wobec grożącej niby wojny.

Pismo to przytacza rozmowę swego korespondenta z kimś, kto właśnie wrócił z Hiszpanji i który rozwodzi się szeroko o swoich poczynaniach, armji czerwonej, o niby „nieludzkiem“ postępowaniu generała Franco i kończy tak: „Skoro tylko dowiedzieliśmy się, że nasza ojczyzna znajduje się w niebezpie-

czeństwie, zacisnęliśmy pięści: już nie mogliśmy dłużej wytrwać w Hiszpanji. To też teraz już tu jesteśmy..."

Z tego wynika wyraźnie, że Czesi wyjeżdżają sobie swobodnie do Hiszpanji, jeśli chcą walczyć w armji czerwonej i wracają stamtąd bez najmniejszych przeszkód ze strony władz.

„Nedelni list" (nr. 155 z 5.VI,38) doniósł, że z początkiem czerwca b. r. powróciło do Pragi ośmiu inwalidów z Hiszpanji. Najstarszy z nich liczy 57 lat. Pismo to donosi na innem miejscu, że sanatorjum Vanopz na Smichowie w Pradze otrzymało nakaz opróżnienia i przygotowania dostatecznej ilości pokoi dla 100 inwalidów, powracających z czerwonej armji hiszpańskiej. Porucznik zaś czeski z tejże armji, Hasek, który przybył z tą partją inwalidów, wygłosił szereg odczytów na rzecz pomocy czeskiej dla hiszpańskiej armji czerwonej.

Należy podkreślić, że owi ochotnicy (czechosłowaccy) byli to przeważnie bezrobotni, których pod pretekstem dobrego zatrudnienia udało się sowieckim i czeskim agentom komunizmu wywieźć do czerwonej Hiszpanji i wcielić tam — czytajcie dobrze! — do czeskich bataljonów imienia Husa, Žižki, Komensky'ego oraz — Masaryka!!! Nazwiska te na sztandarach czesko-bolszewickich bataljonów hiszpańskich mówią same za siebie i bodajże za całe państwo i rządy Republiki czeskiej! Prawda, że powiodło się socjal-komunistycznym agentom premiera francuskiego, żyda Bluma, skusić niektórych polskich biedaków - emigrantów we Francji — we Francji — do wstąpienia w szeregi czerwonej armji hiszpańskiej. Ale oddziały tych nieszczęsnych wykolejeńców, maltretowanych notorycznie przez ówczesne władze francuskie nakształt białych murzynów, nie nazwali się rycerzami Skargi, Sobieskiego, Kościuszki, Mickiewicza i t. p., jak to zrobili ze swymi bataljonami i ze swą historją narodową lancknechci czescy w Hiszpanji. Polak, jeżeli nawet z głodu lub pod przymusem trochę „bolszewizuje" — co wcale jeszcze nie znaczy, żeby miał podlegać rozkazom Moskwy — to zachowuje jednak pewną godność własną i ma cześć dla dziejów ojczystych. Lancknechtom czeskim są to wszystko obce i obojętne uczucia.

Wszak nie tylko firmowi czescy masoni, ale nawet liczni „patrjoci" w „państwowo-twórczych" czeskich stronnictwach rządowych nic a nic nie mają przeciw tym czerwonym bataljonom czeskim w Hiszpanji, choć słusznie możnaby się ze strony tych patrjotów spodziewać przynajmniej protestu przeciw profanacji nazwisk swych narodowych bohaterów i innych wybit-

nych postaci. Widoczna rzecz, że wszyscy Czesi dlatego pomijają tę poniżającą profanację zupełnem milczeniem, aby w razie spodziewanego jednak przez nich zwycięstwa czerwonej Hiszpanji mogli w danym momencie powołać się demonstracyjnie na to, że organizowali te bataljony pod imieniem swych bohaterów narodowych na rzecz „demokracji" (oczywiście po sowiecku pojętej), ale że ze względów dyplomatycznych nie mogli przed rozstrzygnięciem hiszpańskiej sprawy tych swoich chęci ani publicznie przedstawić, ani dementować.

Spryciarz więc czeski rozumuje w tym wypadku tak: jeśli czerwona Hiszpanja zwycięży, to Czesi dopomogli jej do tego, a jeśli przegra, to Praga umyje ręce, jak Piłat, i oświadczy, że były wprawdzie pewne nieoficjalne, ochotnicze formacje wojskowe czeskie w hiszpańskiej armji czerwonej, ale rząd czeski nie chciał o tem nic wiedzieć, ani je moralnie czy materjalnie popierać.

——o——

Przekomicznie brzmią na całem tem tle zabawne czeskie usiłowania, mające na celu rzucenie w oczy piaskiem naiwnie myślącym dyplomatom zachodnim, a także i polskim zaciętym słowianofilom, jakoby Czecho-słowacja wcale nie była zbolszewizowaną i nie służyła sowieckim interesom. W coś podobnego może uwierzyć chyba tylko gołębi umysł polskiego słowianofila, np. członka Towarzystwa polsko-czeskiego w Warszawie.

Prasa bowiem czeska usiłuje — dla dywersji — protestować bardzo słabiutko i nędznie od czasu do czasu przeciw konkretnym doniesieniom i twierdzeniom o sowietofilskich, czy wręcz bolszewickich tendencjach narodu czeskiego. Ale i przez to dostarcza prasa ta dostateczny materjał, że bolszewickie sympatje i przekonania górują w rzeczywistości w sztucznym tworze czechosłowackim.

Osatnio bowiem praskie „Narodni Osvobozeni" (nr. 140 z 16.VI.38) doniosło, że utworzony w Pradze „Komitet niesienia pomocy rządowej Hiszpanji" zdołał w stosunkowo krótkim czasie wysłać już 24 wagony żywności i lekarstw dla lazaretu im. Komensky'ego, który opiekuje się na miejscu nie tylko rannymi Hiszpanami z armji czerwonej, lecz i ochotnikami czeskimi, sformowanymi w tej armji w oddziałach im. Komensky-ego, Żiżki, Husa i Masaryka. A wiedzieć trzeba, że „Narodni Osvobozeni" jest organem czeskich legjoniarzy, na pół

zbolszewizowanych i stojących pod sztandarem obozu dawniej Masaryka, a dziś Benesza!

Powyższą akcję ratunkową na rzecz czerwonej Hiszpanji pochwala także organ ministra Krofty „Lidove Noviny" (nr. 151 z 15.VI,38), ani słówkiem przeciw niej nie protestując.

Prasa czeska nie pisze również o tem, ile amunicji i samolotów wysłano z Czech do Hiszpanji, gdyż jest to niby „tajemnica wojskowa". „Niebolszewizujący" Czesi urządzają z miasta do miasta lotną „Wystawę dokumentów o Hiszpanji", na której za pomocą fałszywie zestawionych lub wprost podrobionych zdjęć starają się dowieść, że za rewolucję w Hiszpanji ponosi odpowiedzialność jedynie generał Franco oraz rządy Włoch i Niemiec (Lidove noviny, nr. 283 z 5.VI,38). W Pradze i gdzieindziej wygłaszane bywają odczyty na temat wojny w Hiszpanji z tendencyjną sympatją dla czerwonych rządów, przeciwstawianych sprytnie jako „prawdziwie demokratyczne" rządy Hiszpanji. Największy udział bierze w organizowaniu tych czerwonych atrakcyj przewódca czeskich masonów, osławiony legjonarz E. Woska, któremu nawet w prasie czeskiej zarzucano różne malwersacje i który wyraził się kiedyś, iż wiąże losy Czechosłowacji z przyszłym rezultatem rewolucji w Hiszpanji. Zdaniem jego, gdyby gen. Franco miał odnieść ostateczne zwycięstwo, to wówczas byłby przypieczętowany także los Czechosłowacji. Wtedy bowiem nie udałoby się obronić, ani ochronić demokracji czeskiej. Widocznie Woska sam uznaje, że Czecho-Słowacja posiada bardzo słabe fundamenty niezależności! Organizują Czesi także wyświetlanie tendencyjnych filmów na rzecz czerwonej Hiszpanji. Niedawno temu wyświetlano w Pradze film tego rodzaju, który przyniósł ze sobą Hiszpan Dr. Frederico Duran Jorda, lekarz z zawodu. Aby zamaskować i złagodzić krzykliwość tego wystąpienia, wygłosił on równocześnie odczyt naukowy... o transfuzji krwi! (Lidove noviny, nr. 306 z 19.VI.38). Pismo to donosi w dalszym ciągu, że na rzecz czerwonej Hiszpanji agituje także czesko-żydowska tancerka, Mira Holzbach, która bawiła przez pięć miesięcy w Hiszpanji, gdzie swoim tańcem zachęcała czerwonych wojaków do wytrwania w wojnie domowej.

Praska „Narodni politika" (nr. 149 z 31.V, 38), mająca maskę pisma „narodowego", którego największym udziałowcem jest znany przywódca czeskich intelektualistów komunizujących, prof. uniw. dr. Nejedly, autor grubych dzieł o życiu Masaryka i... Lenina, przyniosła wiadomość bardzo podnoszącą czeskiego

ducha, p. t. „Czechosłowacy — najlepsi żołnierze w Hiszpanji". Pismo to przytacza tę sprawę rzekomo z angielskiego „Evening Standardu". Dla Czechów, mających dotąd tylko swego „narodowego bohatera" w postaci Szwejka — niezmiernie miłem było, nawet dla ich obozu „narodowego" — usłyszeć wiadomość, że w czerwonej Hiszpanji najlepszymi żołnierzami są jacyś „Czechosłowacy". Wielka szkoda tylko, że pismo nie przytoczyło konkretnych danych, ilu wśród tych „najlepszych czechosłowackich żołnierzy" jest prawdziwych, rdzennych Czechów!

„Vecerni ceske słovo" (nr. 113 z 14.V,38) jest strasznie dumne z tego, że Czesi zorganizowali pomoc lekarską dla czerwonej Hiszpanji. Donosi nawet, że dwaj lekarze Czesi, dr. Gustaw Tallenberg i dr. Karol Schnell, dostali się do niewoli gen. Franco i że międzynarodowy Czerwony Krzyż podjął natychmiast starania, aby ich wymienić za innych jeńców. Ciekawą jest rzeczą, jak to różne „międzynarodowe" organizacje dobroczynne wkraczają natychmiast na rzecz podejrzanych żywiołów, podczas gdy całe narody, jak np. słowacki, ginąć mogą w jarzmie i niesłychanym ucisku czeskim, a jednak żadne „międzynarodowe" towarzystwo nie zajmie się ich najsłuszniejszą sprawą!!

Cytowany dziennik donosi dalej, że padł od granatu czeski lekarz - ochotnik, dr. Bukaty z Pragi i że dla czerwonej Hiszpanji pracuje obecnie w czeskim lazarecie im. Komensky'ego 28 czeskich lekarzy i pielęgniarzy. Pisze o tem obszerniej w organie czeskich lekarzy „Vestnik cs. lekaru" sam organizator wyprawy rzeczonego lazaretu dr. Holubec z Trzebicza (Vecerni ceske słovo, nr. 132 z 7.VI,38).

Ten sam dr. Holubec donosi na łamach „Lidovych novin" (nr. 299 z 15.VI,38), organu — jak wiadomo — ministra spraw zagr. Krofty, że czeska wyprawa lazaretowa spotkała się z wielkiemi sympatjami nie tylko u czerwonych Hiszpanów, ale i ze strony podobnych lazaretów, wyekwipowanych przez inne państwa. Dr. Holubec otrzymał także niespodziewany list od kierownika wyprawy amerykańskich czerwonych lekarzy, dr. A. Etlesona z New Yorku, który obiecuje swe przybycie z pomocą lekarską także i Czechom wrazie, gdyby albo doszło u nich do wojny domowej, albo do wojny Czech z sąsiadami. Dodaje ów dr. Etleson, że na podstawie całorocznej praktyki lekarskiej na czerwonym froncie hiszpańskim „czuje w sobie siłę, aby w danym razie przysłużyć się także i Czechom".

Ostrawski „Duch czasu" (nr. 131 z 4.VI.38), przyniósł wspólne zdjęcie delegatów czeskich socjalistów z delegacją czerwonej Hiszpanji w Brukseli. Na tej fotografji oglądać można także nowoupieczonego hiszpańsko-bolszewickiego „generała", austrjackiego żyda Juljusza Deutscha.

A więc żadnej nie ulega kwestji, że Czesi — wszelkich stronnictw i orjentacji — sympatyzują z ruchem komunistycznym i wprost demonstrują na rzecz bolszewizmu, maskując to jednak sprytnie swemi przekonaniami niby „demokratycznemi", a udając „wielce obrażonych", gdy im ktoś na podstawie faktów realnych zarzuci sowietofilskie uczucia i przekonania.

Przy ostatnich wyborach do gmin wiejskich uzyskali komuniści czescy — jak już podaliśmy — wzrost głosów, co w dzisiejszych warunkach w tej części kontynentu Europy jest zjawiskiem nienaturalnem, gdyż równocześnie zmniejszyły się głosy komunistów w Słowacji na rzecz stronnictwa ks. Hlinki. „Lidove noviny" (nr. 302 z 17.VI,38) — powtarzamy, że organ ministra Krofty — zaznaczają, iż wzrost głosów komunistycznych przypisać należy okoliczności, że komuniści w Czechach „zainicjowali" agitację na rzecz republiki, demokracji, armji i sojuszu z Rosją sowiecką! Jedynie tylko akcentuje to pożałowania godne stanowisko czeskiej prasy rządowej organ prorządowych agrarjuszów „Venkov" (nr. 122 z 25.V, 38), iż „niektóre pisma w swej skwapliwości posuwają się nawet tak dalece, że stopniowo zrobiłyby z komunistów ruch państwowotwórczy".

Aby więc zamaskować ślady swego urzędowego sowietofilizmu czeskie pisma rządowe starają się zatuszować międzynarodową akcję komunistów czeskich (i oczywiście moskiewskich) nawet pozornym, szumnie rozdmuchanym „patrjotyzmem". Zaiste rzec można, że „Mundus bohemicus vult decipi". Ale najszkodliwszym jest ów świat czeski dlatego, że vult decipi nie tyle samego siebie, ile przedewszystkiem swoich bliższych i dalszych sąsiadów. Nie dajmy się! Pamiętajmy, że blaga czeska i archeologiczna „wspólnota słowiańska" to tylko bezwartościowe frazesy, a rzeczywistością jest od pół wieku zażarty moskalofilizm, a od dwudziestu lat nie mniej zażarty sowietofilizm obcego Polakom i Słowakom pod każdym względem czeskiego narodu, zwłaszcza pod dyrektywą jego obecnych, nawskroś masońskich rządów!

Profesor uniwersytetu w Pradze, dr. Nejedly, mający wielkie zasługi dla bolszewizmu czeskiego, posunął się aż tak da-

leko w czasie ostatniej agitacji wyborczej, iż głosił — o czem pisze z oburzeniem „Venkov" (nr. 129 z 1.V,38): „Jeśli jeszcze istnieje dziś u nas naród rzeczywiście, to jest on i może być tylko wśród mas komunistycznych, a nigdzie indziej!"

Tak to nisko ocenia sobie — może nie bez realnie uzasadnionej słuszności — czeski uczony działacz właściwe dążenia i cele swego narodu i to poczynając już od skrajnej prawicy. Do czegośkolwiek, do jakiegobądź większego wysiłku narodowego uważa on za zdolnego tylko ten „naród czeski", który został zorganizowany przez moskali w obozie komunistycznym. Smutna prawda — ale bezsporna prawda i zarazem wymowne świadectwo patrjotyzmu i „tężyzny" narodu czeskiego!

I nic w tem dziwnego. Wielka bowiem ilość komunistycznych głosów wyborczych, dalej wielka ilość innych stronnictw, tworzących razem z komunistami t. zw. czeski front ludowy, upadek prawicowców i nikła liczba głosów katolickich uzasadniają twierdzenie uczonego czeskiego komunisty, że prawdziwy naród czeski znajduje się obecnie istotnie w szeregach obozu komunistycznego.

A to stwierdzenie przemawia doprawdy za całe tomy!

*Franciszek Unger.*

## UWAGA REDAKCJI

Quousque tandem! Jakżesz długo jeszcze znaczna niestety część polskich słabeuszów „słowiańskich" będzie samobójczo dla Ojczyzny grawitować ku rzekomym pobratymcom czeskim? Jakżesz długo jeszcze zażarci tchórze polscy, bojący się hełmów niemieckich, jak ognia, będą usiłowali bronić się przed nimi za pomocą tego kolosalnego oszustwa, które wabi się „ideą słowiańską"? Czyż dotkliwe doświadczenie dwudziestu już lat nie zdołało przekonać naszych kawiarnianych „wszechsłowiańców", że w każdym razie w dzisiejszych stosunkach każdy sąsiad-słowianin jest dla nas wrogiem, gorszym od Niemca!

A już najbardziej odnosi się to do Czechów, nawskroś zbolszewizowanych bastardów słowiańsko-niemieckich i stąd najniebezpieczniejszych. Działają bowiem na polską naiwność dźwiękami lutni słowiańskiej, a w gruncie rzeczy — realnie i objektywnie biorąc — są dla nas konglomeratem i spotęgowaną kwintesencją perfidji i nienawiści pruskiej i bolszewicko-moskiewskiej.

Wszystko, co było i jest najbardziej antypolskiego i antykatolickiego w Niemczech i Rosji oraz w judaistyczno-masoń-

skich sferach zachodu, to skoncentrowało się w sztucznym tworze kiszkowatego „imperjum czeskosłowackiego“, wymyślonego, skonstruowanego i skierowanego przez światowe złe moce przeciw pokojowi i wszelkim dodatnim pierwiastkom niebolszewickiej Europy. Stare wytrawne masony francuskie i anglosaskie wiedziały dobrze, co czynią, aprobując kreację bardzo zręcznie skleconego państewka czeskiego w samem węzłowem centrum Europy!

Przewidzieli doskonale, że dopóki mają w geometrycznym środku Europy posłuszną Pragę z Masarykami, Beneszami i innymi Nejedly'mi na czele, to mogą śmiać się ze wszystkich dyplomacji i Lig narodów, gdyż „zagadnienie“ Czechosłowacji zawsze będzie trzymać w szachu całą Europę pod kierunkiem różnych Wielkich Wschodów, Bnei Brith'ów i ich moskiewskich wykonawców. Ale wszystko to nie byłoby zbyt niebezpieczne dla „urodzonego żołnierza“, jakim jest Polak, gdyby nie chmary naszych słowianofilskich dureńków, które na dziecinnych reminiscencjach o jakimś Lechu, Czechu i Rusie propagują w istocie komunistyczną, samobójczą zdradę stanu. Nawet niektórzy profesorowie uniwersytetów, specjaliści — historycy, którzy chyba najlepiej winni zdawać sobie sprawę, jak strasznem niebezpieczeństwem moralnem i fizycznem grozi Polsce wszelka ideologia słowiańska, zwłaszcza na bastardowym Czechu oparta. Nie wynika stąd wcale, abyśmy mieli zbliżać się do Niemców. Wprost przeciwnie, ale różnica jest ta, że przeciw Niemcom należy położyć zdecydowany hamulec na ich ekspansję gospodarczą i kolonizacyjną w Polsce, przerwać najbezwzględniej stosunki niemiecko-ukraińskie, mnożyć tanki i samoloty w nieskończoność i skierować cały wysiłek polityczno-finansowo-gospodarczy na Gdańsk (mniej na Gdynię!) i stać najliczniej z karabinem u nogi — gdy tymczasem idei czesko-słowiańskiej wystarczy dać potężnego kopniaka, aby umilkła raz nazawsze i zamknąć wszystkie stowarzyszenia polsko-czeskie i polsko-słowiańskie wogóle. W ostatecznym bowiem rezultacie działalność ich, bardzo sprytna ze strony czesko-bolszewickiej, a bardzo głupia ze strony polskich słowianofilów, wyjdzie tylko na korzyść Niemiec i Rosji.

Nie rozumiemy również, jak władze polskie, tak czułe na punkcie celnym i obrony przemysłu, mogą tolerować wielką ekspansję w kraju pewnych firm i kapitałów czeskich, np. takiego polipa w swym rodzaju, jakim jest firma masowej fabrykacji obuwia „Bata“, która zalewa nas najoczywistszą tandetą, pod-

kopując dotkliwie polskie rzemiosło, a przytem nie wiadomo, czy nie służy jeszcze innym jakimś celom, mającym mniej wspólnego z wyrobem tanich butów. Bo rzecz wiadoma, że wielkie firmy przemysłowo-handlowe, penetrując do państw sąsiednich, a zwłaszcza „nieprzyjacielskich" — jak w tym wypadku — mogą mieć różne zlecenia i różne sprawy na oku. Zresztą nie chcemy nikogo o nic posądzać, ale oburza nas tylko dziwna polityka czynników w tym zakresie kompetentnych, które obciążając prywatny handel polski wielkimi ciężarami i jeszcze większymi formalnościami (aż do osobnego urzędu artystycznego, który obciąża nasze sklepy i sklepiki nakazem kosztownych szyldów), tolerują i popierają buszowanie czeskich przedsiębiorstw w Polsce.

Przepowiadaliśmy w „Naszej Przyszłości" od wielu lat anschluss Austrji, jako rzecz zewszech względów nie uniknioną. Przepowiadamy dzisiaj wyraźnie powrót Czech właściwych (Böhmen) do Rzeszy niemieckiej, do której kraj ten od wielu wieków organicznie należy. A przeświadczenie o tem winno zmusić gnuśnych i wiecznie tylko defenzywnie nastrojonych Polaków do wyznaczenia sobie zawczasu odpowiednich „sfer interesów" na przyszłym trupie Czech, oraz w Gdańsku, Prusach wschodnich i na Litwie.

Strachopuchy nasze mogą być spokojne. Nic ich w całym tym interesie z wygodnych foteli politycznych i dziennikarskich nie poruszy. W odpowiednio obranym momencie żaden hitlerowski ani stalinowski bataljon czy samolot nie wyruszy przeciw odważnej polityce zdecydowanego narodu. Co najwięcej zaznaczy się tu i tam słynne międzynarodowe kiwanie palcem w bucie, ale co kto zajmie, tego mu już nikt nie odbierze. „Wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie" — oto trafne powiedzenie Gerwazego, które w dzisiejszych czasach większe ma znaczenie, niż za epoki Soplicy. I dlatego, śledząc wiadomości dziennikarskie i ich wszelkie tędy i owędy, nie możemy zrozumieć całej tej zabawnej tragi-komedji czeskiej z jej wszystkiemi Runcimanami i innymi lordami. Aby bowiem mieć w Europie nareszcie święty spokój, trzeba poprostu zmodernizować i krótko przeprowadzić stare i tak trafne twierdzenie Katona:

„Caeterum censeo Bohemiam esse delendam!"

— — —

Jedną tylko mają Czesi drogę otwartą do Polski — drogę uczciwą i prawdziwie „słowiańską": stanowcze zerwanie z Rosją, z bolszewizmem i wszechwładną u nich masonerją, a nato-

miast urządzenie przyjacielskiej podróży do Warszawy ze strony tamtejszych miarodajnych czynników z prezydentem Republiki na czele. Ale prezydent ten nie może być we własnym kraju „obcą agenturą", ale rdzennym Czechem, tylko po czesku myślącym. I premier nie może być renegatem słowackim — a więc ni tem, ni owem — lecz albo rdzenym Czechem, albo rdzennym Słowakiem. Przedewszystkiem zaś czeski minister spraw zagranicznych nie może być żadną miarą sługą i nominatem czerwonej Moskwy i musi przywieść do Warszawy nie tylko gałęzkę oliwną, ale i zrabowaną niecnie przez Czechów część Śląska Cieszyńskiego.

Ultimatum ne varietur!

# Z kraju korony św. Szczepana

Kiedy przed paroma miesiącami, a więc niedługo po „anschlussie“ Austrji, pisałem w „Polsce Zbrojnej“ o ówczesnych nastrojach na Węgrzech, zaznaczyłem, że oczy Węgrów zwracają się ku Polsce w oczekiwaniu jakichś kroków, które zbliżyłyby oba kraje bardziej jeszcze i to nie tylko pod względem kulturalnym, ale i politycznym, co mogłoby nawet w dalszej przyszłości zakończyć się unją Polski i Węgier.

Jak wiadomo, kroki takie nie nastąpiły do chwili obecnej. Zamiast tego mieli możność Węgrzy zapoznać się dzięki najpoczytniejszym dziennikom polskim z tem, co jest przez te dzienniki sugerowane społeczeństwu polskiemu w obecnej sytuacji politycznej.

Dowiedzieli się więc Węgrzy (z tych dzienników), że „polską racją stanu“ ma być... obrona Czechosłowacji przed jej rozpadnięciem się w razie nacisku niemieckiego, t. j., innemi słowy, ma być też uniemożliwienie powrotu do Węgier zabranych im przez Czechów ich prowincji: Słowacczyzny i Rusi Podkarpackiej. Ma to być obroną przed „niebezpieczeństwem agresji niemieckiej“, która po rozprawieniu się z Czechosłowacją miałaby rzekomo zagrażać Polsce. A więc zamiast unji polsko-węgierskiej — na widowni coś, co miało by prowadzić do unji polsko-czeskiej.

Jak tego rodzaju wystąpienia poczytnych organów prasy polskiej zostały przyjęte przez Węgrów, jakim ochładzającym prysznicem było to na ich niezmienną dla Polski przyjaźń i na ich stałe dążenia do powrotu do historycznej wspólnej polsko-węgierskiej granicy, tak pożytecznej ze względów obronnych dla obu krajów — o tem nie będę się tu rozpisywać. Najbardziej jednak zdumiewającem było dla nich (i nie tylko dla nich) to, że owe sugestje filoczeskie podjęte nagle zostały przez te polskie dzienniki, które dotąd wyróżniały się właśnie bojowymi antyczeskimi artykułami. Ostatniem swem wystąpieniem oddały

te dzienniki fatalną przysługę prestiżowi Polski na Węgrzech, gdyż podkopały w Węgrach wiarę ich w istnienie jakiejś konsekwentnej orjentacji u społeczeństwa polskiego. W rezultacie podkopały też ich zaufanie w trwałość i pewność tego wszystkiego, co może im być w przyszłości ze strony polskiej sugerowane...

Ale te niefortunne wystąpienia niektórych publicystów polskich nie zdołały jednak oziębić całkowicie przyjaźni Węgrów dla Polski, przyjaźni, która nie jest oparta tylko na czczych słowach, wypowiadanych przez dyplomatów w czasie okolicznościowych toastów, lecz zakorzeniona jest głęboko w sercach całego węgierskiego narodu. „Lengyel" — to dla każdego Węgra nie tylko odwieczny sąsiad na północ od Karpat, ale to „brat-sąsiad", jak go nazywa lud węgierski. To ten sąsiad, który choć innej rasy „ale nigdy w ciągu tysiąclecia nie zrobił Węgrowi krzywdy, ani nigdy od Węgra nie doznał krzywdy". Za to chodzili razem, ramię przy ramieniu ci dwaj bracia - sąsiedzi i na Czecha-słowianina i na słowiańską Moskwę i na bisurmańskiego Turka. Później bili się o niepodległość ich krajów: Polacy za Węgrów, Węgrzy za Polaków...

Dużo więc jeszcze trzeba dziś... wysiłku, aby zniszczyć w sercu narodu węgierskiego ten tradycyjny jego pociąg do narodu polskiego!!

Może też najlepszym określeniem dzisiejszego nastawienia Węgrów i Węgier w stosunku do Polski były słowa ministra spraw zagranicznych Kanyi, który w czasie swego ostatniego exposé w parlamencie wyraził się, iż węgierska przyjaźń dla Polski pozostaje „wytrwałą". Rzeczywiście trzeba być naprawdę „wytrwałym" w tem uczuciu, aby się nie zmienić po wszystkich tych „prysznicach ochładzających", które co pewien czas puszczane są na Węgrów raz oficjalnie, innym razem nieoficjalnie z kraju ich przyjaciół - Polaków, a rozgłaszane potem radośnie (tak jak to miało miejsce ostatnim razem) przez Pragę czeską! Czy z równą radością dowiedzieli się o tych filoczeskich koncepcjach naszych „redakcyjnych polityków" Polacy za Olzą, uciemiężani dotąd przez „brata-czecha" i dążący do uwolnienia się z tego jarzma — należy wątpić. Ale ci właśnie Polacy ciemiężeni przez Czechów, a będący najlepszym może materjałem ludu polskiego, ci twardzi potomkowie zapiastowskich kmieci cieszyńskich, mają też swoją „rację stanu" w walce o polskość.

Dali oni dowód tego w czasie ostatnich wyborów w Czeskim Cieszynie, głosując wspólnie ze „ślązakowcami" i Niemcami,

przeciw połączonym listom tryumwiratu... Czechów, Żydów i Komunistów.

Zdaje się też, że chłopski rozum tych kmieci cieszyńskich ma w sobie więcej zdrowego i politycznego rozsądku niż owe sugestie filoczeskie w niektórych organach prasy polskiej, oddalające od Polski najpewniejszych w razie potrzeby jej sprzymierzeńców-Węgrów. Wciągnięcie bowiem Węgier do jakiegoś polsko-słowiańskiego bloku, o którym roją niektórzy z polskich publicystów — jest mrzonką. Byłoby to możliwe dopiero po przeprowadzeniu rewizji granic na korzyść Węgier, na co właśnie głównie zalecany Polsce „partner słowiański" Czech, nie chce się godzić. Tymczasem nastroje rewizjonistyczne na Węgrzech wzrastają coraz bardziej i Węgry pójdą ręka w rękę tylko z tym sąsiadem, który im dopomoże do zrealizowania wreszcie tego, na co od lat osiemnastu czekają. Nie będziemy więc mogli się dziwić, jeżeli w niedalekiej przyszłości to miejsce, które w swych planach chcieliby Węgrzy zatrzymać dla Polski, oddadzą po różnych „ochładzających ich prysznicach" Niemcom. Nie będzie to z ich winy... Zbliżenie Węgier z faszystowską Italją i Niemcami w każdym razie będzie z biegiem czasu pogłębiać się ze względu na wszystkie interesy ich łączące. Zbliżenie to dla każdego Węgra ma jednak pewną ustaloną granicę: nienaruszalność niepodległości ich Ojczyzny. I dlatego też sojusz Węgier z Polską, ustosunkowaną w ten sam sposób do osi Rzym-Berlin, byłby pragnieniem Węgrów, gdyż widzieliby oni w nim tem większą gwarancję w ograniczeniu wpływów swego niemieckiego i włoskiego sprzymierzeńca, gdyby te wpływy w krainie Madjarów chciały sięgać zbyt daleko...

„Ale na drodze ku urzeczywistnieniu tego i ku odegraniu przez Polskę tak historycznej roli — jak to zaznaczają dziś niejednokrotnie Węgrzy — leży najeżona bagnetami barjera, uniemożliwiająca przeprowadzenia tego planu — barjera Czechosłowacka".

Węgrzy podkreślają „wytrwałą" swą przyjaźń dla Polski i czekają... Czekają, który z ich przyjaciół dopomoże do usunięcia tej najeżonej bagnetami barjery.

A później?

Być może, że później huzar honwedów będzie mógł znowu, jak w dawnych czasach, uścisnąć poprzez granicę dłoń swego tradycyjnego sąsiada i przyjaciela — polskiego ułana.

Tego dziś jeszcze pragnęliby Węgrzy z całego serca, którego nie zdołały narazie ochłodzić dla Polski ani niespodziewane „zimne prysznice“, ani stała, grzeczna rezerwa...

*Włodzimierz hr. Bem de Cosban.*

# Podstawy ducha ofenzywy

Duch ofensywy, zgodnie z terminem, zaczerpniętym z języka wojny, objawia się w zaczepności, w sztuce uprzedzania przeciwnika i udaremniania mu w ten sposób ataku. Obok starej prawdy, wyrażonej w słowach: „Si vis pacem, para bellum" stoi skrajniesza, lecz także doświadczeniem wieków potwierdzona zasada: jeśli nie chcesz być napadniętym — napadaj pierwszy! Umiejętność zaskoczenia potrzebna jest nie tylko strategikom, ale i mężom stanu. Niejeden bezkrwawy sukces polityczny zawdzięcza się metodzie „faktów dokonanych".

Duch ofensywy nie oznacza bynajmniej ślepej, bezprogramowej zaborczości, żądzy nieustannych najazdów i podbojów. Nauczmy się odróżniać ekspansywność organizatorską, twórczą, od ekspansywności barbarzyńskiej, niszczycielskiej. *Ekspansja polityczna, nawet poparta akcją zbrojną, nie zawsze jest pospolitą grabieżą.* Nie można wydawać sądu o tych faktach bez wniknięcia w ich tło i przyczyny. Zestawianie podbicia Abisynji z rozbiorami Polski jest tylko zręcznym chwytem sofisty. Przepaść dzieli niemiecką i moskiewską zachłanność, z któremi kojarzy się n i e w o l a, systematyczny wyzysk pokonanego kraju i prześladowanie narodowe — od dziwnej polskiej „zaborczości", która polegała na podnoszeniu do w o l n o ś c i i braterstwa, na dobrowolnem łączeniu się w imię wspólnej racji stanu.

Duch ofensywy jest nieodzowny w czasie wojny i w czasie pokoju. W stosunkach wewnętrznych i zewnętrznych. Widoczny jest w czynnej postawie narodu, który nie oczekuje biernie na wypadki, ale sam je celowo przygotowuje, według swego planu i na własny użytek. Objawia się w naturalnej dążności do rozwoju i potęgi, w podejmowaniu wielkich dziejowych zadań. Naród, tym duchem przepojony, staje się z przedmiotu podmiotem i współtwórcą dziejów.

W tem szerszem rozumieniu duch ofensywy jest w Polsce jeszcze słaby. Nie umiemy znaleźć dla niego oparcia w przeszłości. Lubimy się zato chwalić, że nigdy rzekomo nie prowadziliśmy wojen zaczepnych, co ma być dowodem naszej moralnej wyższości. Z niedołęstwa swego, jak to często bywa, zrobiliśmy cnotę. Prawdą jest tylko to, że nieliczne agresje polskie kończyły się zwykle niepowodzeniem, a udane nie przynosiły trwalszych owoców. Nasza historja wojenna to przecież w znacznej mierze ciąg niewyzyskanych dostatecznie zwycięstw i bezpłodnych bohaterstw.

Rzucone nam przez bardzo wysoki autorytet hasło obrony jest cenne i potrzebne, ale wyznacza program zbyt skromny. Stać nas chyba, aby na to defensywne hasło odpowiedzieć bardziej ofensywnym odzewem: *„Co nam obca przemoc wzięła, szablą odbierzemy!"* Niejedno bowiem mamy do odebrania. Obcym apetytom trzeba przeciwstawić nasze zdrowe i słuszne apetyty. Na początek choćby tylko na Śląsk Cieszyński, Gdańsk... Te skrawki nie wyczerpują oczywiście listy polskich ziem, będących w obcem ręku, których nie przestaliśmy być prawymi właścicielami. Nikt nie powie, że jest to sięganie po cudze.

Na wschód i na zachód od nas wyrosły dwa groźne imperializmy, a wewnątrz pasorzytuje trzeci imperjalizm z pod znaku pięcioramiennej gwiazdy i siedmioramiennego świecznika, mafja śwatowego żydostwa, władająca kapitałem, bronią silniejszą od żelaza. W obec tych trzech imperjalizmów, które jak trzy zajadłe psy czyhają gotowe rzucić się na nas — nie możemy odgrywać roli jeża, który wobec napastującego psa wystawił kolce i zadufał w swe bezpieczeństwo. Trzeba samemu być bardzo czujnym i złym psem, który potrafi kąsać.

Naród może zachować swój byt tylko przez walkę. Takie jest twarde prawo życia, działające bez względu na to, czy wydaje się komuś ślepe i okrutne, czy też mądre i sprawiedliwe. My próbowaliśmy kiedyś wykręcić się od tego prawa i żyć sobie sielsko-anielsko. Wiemy, jak skończyło się owo dolce far niente XVIII wieku, brutalnie przerwane przez aktywnych sąsiadów. To przykre doświadczenie powinno odstraszyć nas raz na zawsze od pretendowania do godności „czynnika pokoju". Przekonaliśmy się na własnej skórze, jak nieubłagane jest prawo, które żąda od narodu nieustannego wytężenia sił i nie pozwala mu spocząć w błogiem poczuciu beztroski i dosytu.

Zdrowy, żywotny naród ma z natury postawę ekspansywną, zdobywczą. Brak dynamizmu, zamarcie ducha ofensywy jest oznaką jakiejś ciężkiej choroby, trapiącej jego organizm lub skazy na jego psychice, zapowiedzią zwyrodnienia albo starczego skostnienia.

Naród w ofensywie składać się musi oczywiście w swej większości z jednostek mocnych, dzielnych i przedsiębiorczych, twórczych w dziedzinie gospodarczej i duchowej, dążących z energją i wytrwałością do wytkniętego celu, krótko mówiąc: z ludzi typu czynnego. Ten typ czynny stworzył naszą zachodnią, łacińską i chrześcijańską cywilizację, opartą na afirmatywnym stosunku do życia i na woli przekształcania go. Jego przeciwieństwem jest typ wegetatywny, człowiek bierny i gnuśny, bez potrzeb i pragnień. Bierny, kontemplatywny stosunek do życia jest znamieniem ducha Wschodu. Obojętność i oderwanie się od świata realnego jako ideał etyczny, nauka o niesprzeciwianiu się złu, rosyjski anarchizm i nihilizm — to są jego charakterystyczne wytwory.

Typ wegetatywny rozwielmożnił się u nas nad miarę, od wieków decydując o kierunku i skali naszego rozwoju. Co może osiągnąć naród, którego większość odrabia swe życie jak pańszczyznę, jeden z najuboższych narodów w Europie! Bez zmiany typu psychicznego nie nastąpi żadna istotna i trwała poprawa naszego położenia. Taka przemiana nie jest mitem, może się nawet dokonać w obrębie jednego pokolenia. Niech wystarczy przykład Włochów, których nazywano pogardliwie narodem żebraków i włóczęgów, a którzy w ciągu lat kilkunastu stali się potęgą i zmierzają śmiało do hegemonji nad Morzem Śródziemnem.

Naród polski przez odrodzenie państwa wykazał dobitnie swą żywotność. W sensie biologicznym i cywilizacyjnym jest narodem młodym i świeżym. Ma wielkie rezerwy ludowe, zapewniające nieprzerwany dopływ nowych sił. Jesteśmy bez wątpienia narodem zdolnym. Jesteśmy nie tylko konsumentem, ale i współtwórcą kultury europejskiej. Mamy ambicję być narodem wielkim. Dlaczego więc, pomimo niezaprzeczonego postępu i wielu dodatnich osiągnięć w pierwszem dwudziestoleciu wskrzeszonej państwowości, nie zajmujemy na świecie takiego miejsca, jakiego dla siebie pragniemy i do jakiego czujemy prawo? Dlaczego zwłaszcza pod względem gospodarczym jesteśmy parjasami? Dlaczego jawnie lub ukradkiem zazdrościmy

Włochom, Niemcom i Japończykom, najbardziej obecnie aktywnym i ekspansywnym narodom?

Jak pokonać powszechne ospalstwo, gdzie szukać dźwigni, zdolnej poruszyć szarą miazgę społeczną? „Nasz naród jak lawa, z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa; lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi" — pisał przed stu laty poeta. Trzeba zerwać tę zastygłą na powierzchni, plugawą skorupę, aby kryjący się w głębi ogień ogarnął całość naszego życia. Do tego potrzebna jest idea kierownicza, wskazująca posłannictwo dziejowe Polski. Jest to według nas idea zbudowania przez Polskę wielkiego imperjum, zespołu narodów, zawierających dobrowolne związki, zgodnie ze wspaniałą tradycją jagiellońską. Od bitwy pod Lignicą w roku 1241 do bitwy pod Warszawą w roku 1920 nie zmieniła się nasza rola przedmurza przed Azją. Dzisiaj przeciwstawić się agresywnym, pogańskim ideologiom komunizmu i hitleryzmu może tylko Polska, stojąca na czele państw od Bałtyku do Adrjatyku i Morza Czarnego.

Idea bloku państw środkowo-wschodniej Europy zaczyna trafiać do polskich głów. Rozmaicie formułowana i modyfikowana, zależnie od przekonań i upodobań, staje się niepostrzeżenie programem ludzi dalej patrzących. Myśl polska wychodzi z opłotków, nabiera szerszego tchu. Mózgi nasiąkają imperialistycznym sposobem myślenia. To, co jeszcze niedawno wydawało się zuchwałą mrzonką, dziś uważane jest za możliwe do wykonania. Pewne zaś posunięcia naszych czynników kierowniczych w ostatnich czasach zdają się świadczyć, że idea bloku wchodzi w pierwszą fazę realizacji.

Przyszła ekspansja polska ma przed sobą pięć głównych kierunków: *kulturalny*, *gospodarczy*, *ludnościowy*, *polityczny i zbrojny*. Nie próbuję przedstawić w niniejszym szkicu całości tego rozległego problemu. Rozpatrzę tylko po krótce moment kulturalny i ludnościowy, a następnie przejdę do obszerniejszych rozważań o armji, militaryźmie i pacyfiźmie.

Stanowczo zbyt mało cenimy siłę atrakcyjną, jaką już teraz stanowi Polska dla wielu narodów Europy Środkowej. Słabo zdajemy sobie sprawę, czem jesteśmy dla Słowaków, Węgrów, Rumunów, Serbów, Bułgarów, Łotyszów, Estończyków. Nawet narody, nie bardzo przychylnie do nas ustosunkowane, jak Czesi, Rusini, Litwini, naturalnem prawem ciążenia znajdują się w zasięgu wpływów naszej kultury. Ale mocno zakorzeniony kompleks niższości sprawia, że wolimy być cieniem, niż źródłem

światła. Zamiast być słońcem dla Kowna czy Bukaresztu wolimy być planetką Paryża albo Londynu. Lekceważymy tak zwane małe narody — lekceważenie słabszych jest zawsze odwrotną stroną poczucia niższości wobec silniejszych — i nie dbamy o nie, nie staramy się przyciągnąć ich do siebie.

Czy nie jest uchybieniem naszej godności, że Rumuni mówią do nas po francusku, a Bułgarzy po niemiecku, że pierwszy poseł litewski przemawia do nas w obcym, nie w polskim i nie w litewskim języku? Ufajmy jednak, że nadejdzie czas, gdy język polski będzie przedmiotem nauczania w szkołach państw Europy Środkowej, ponieważ znajomość jego stanie się konieczna — i to będzie prawdziwym dowodem naszej kulturalnej przewagi na tych terenach.

W przeszłości kultura polska miała okresy intensywnego i dalekiego promieniowania. Wszechnica Jagiellońska podczas swego najpiękniejszego rozkwitu w XV wieku była ogniskiem naukowym o znaczeniu europejskim. Jednocześnie ze wzrostem potęgi politycznej umacniały się wpływy kulturalne, które ogarniały Litwę, Ruś, Inflanty, sięgały od Wrocławia i Królewca do Kijowa, a na południu przekraczały Karpaty. Warstwa szlachecka narodu litewskiego i ruskiego została pozyskana dla polskości. Język Kochanowskiego i Skargi opanował dwór carów moskiewskich, a piśmiennictwo nasze było wzorem dla młodszego piśmiennictwa rosyjskiego. Silnym echem odbiła się wokół polska poezja romantyczna, która zwłaszcza w czeskiem odrodzeniu i w budzeniu się do samodzielności narodów południowo-słowiańskich wybitny wzięła udział. U Bułgarów kult dla naszych wieszczów, dla dzieł Sienkiewicza, Żeromskiego, Reymonta, jest do dziś żywy.

Nadeszła pora, by ekspansję kultury polskiej rozpocząć na nowo. Dobrą markę, jaką wyrobiliśmy sobie przez wiek XIX na południowo-wschodnie Europy, możemy stracić wskutek teraźniejszej bierności. Tu główną uwagę skierować powinna nasza urzędowa propaganda, zamiast ubiegać się o wątpliwe sukcesy nad Sekwaną i Tamizą. Jedna katedra, poświęcona wiedzy o Polsce gdzieś nad Dunajem czy Bałtykiem, więcej warta od pawilonu w New Yorku. Niech nasze wyższe uczelnie starają się ściągnąć na studia jak najliczniejsze zastępy cudzoziemskiej młodzieży. Im żywsza będzie wymiana kulturalna Polski z państwami, leżącymi na pomoście między Niemcami a Rosją, tym łatwiej obejmiemy przewodnictwo w tej części świata.

Pierwszym warunkiem powodzenia naszej ekspansji duchowej jest wysoki współczesny poziom kultury polskiej. Nie da się wiecznie szermować nazwiskami Kopernika, Chopina, Mickiewicza. Twórczość polska musi mieć charakter powszechny, ale nie małpiarsko-kosmopolityczny, musi się zdobyć na własny, oryginalny ton. Sztuka, produkowana na marginesie życia narodowego, przez snobów dla snobów, nie wywrze nigdy szerszego wpływu na własne społeczeństwo, jakże więc może oddziałać na obcych!

Najważniejszą rzeczą jest wzniesienie *wielkiego gmachu polskiej myśli historiozoficznej, państwowej i społecznej*, na fundamencie tego, co w duchu naszych praw i naszych dziejów jest najlepszego — nie gdzieś na niedostępnych szczytach Monsalwatu, lecz na solidnych podstawach rzeczywistości, aby inne narody pociągnąć nie tylko słusznością i wzniosłością idei naczelnej, ale także oczywistością płynących ze związku z nami korzyści.

Ekspansywna energia narodu jest w stosunku prostym do jego siły biologicznej, której nie zastąpi najwyższy nawet rozwój cywilizacji. Zginął tknięty rozkładem świat starożytny, pochłonięty przez fale krzepkich i plennych barbarzyńców. Prężność populacyjna więcej — nawiasem mówiąc — zależy od zdrowia fizycznego i moralnego ludności, niż od dobrobytu, czego wyraźnym dowodem zamożna Francja.

Nadwyżka ludności szuka sobie ujścia na zewnątrz, zalewa rzadziej zamieszkałe terytoria, choćby były przedzielone oceanem. Rządzi tu reguła, którą można by nazwać „prawem wyrównania ciśnień", na mocy którego nadmiar ludzi z krajów przesyconych odpływa do krajów nienasyconych populacyjnie. Przytem, im kraj biedniejszy i gorzej zagospodarowany, tym szybciej się nasyca. Jaskrawym przykładem przeludnienia jest Japonia. Gdy uprzytomnimy sobie, że na kilometrze kwadratowym gnieździ się tam 180 mieszkańców, a z każdym rokiem przybywa milion głów, to zrozumiemy, dlaczego Japonia sięga po nowe tereny na kontynencie azjatyckim, zagraża Filipinom i patrzy pożądliwie na Australię.

Przeciętny przyrost naturalny w Polsce wynosi obecnie 12 na 1000. Oznacza to 400 tysięcy narodzin rocznie. Już dziś sięgamy 35 milionów, a w roku 1950 będziemy posiadali 40 milionów ludności. Nie trzeba jednak zamykać oczu na fakt, że nasz przyrost naturalny spada, gdyż jeszcze w roku 1930 dochodził do

17 na 1000. Dalszy jego spadek byłby niepokojący i państwo musi temu zapobiec, stosując na szeroką skalę politykę popierania rodziny i dziecka, jak to się robi w Niemczech i Włoszech, wszelką zaś propagandę neomaltuzjańską dusząc z całą bezwzględnością.

Mimo gęstości zaludnienia małej w porównaniu z Japonią i państwami totalnymi Polski — stoi przed nami widmo przeludnienia, do czego przyczynia się nasze ubóstwo, słaby rozwój przemysłu i niski stan kultury rolnej. Największa ciasnota panuje na wsi. W Polsce na obszarze użytkowym 100 hektarów pracuje w rolnictwie 45 osób, gdy w Niemczech i Włoszech 34, we Francji tylko 25. Najżywsze tempo uprzemysłowienia kraju, żadna reforma rolna i społeczna, ani odpływ ze wsi do miast nie rozwiążą całkowicie problemu. Nie nadążymy z budowaniem nowych warsztatów pracy dla setek tysięcy wchodzącej co rok w życie młodzieży.

Jedyny ratunek byłby w emigracji, ale ta jest dzisiaj tak nikła, że stanowi czynnik bez większego znaczenia. Kraje zamorskie skurczyły swe kontyngenty lub zupełnie zamknęły granice przed przybyszami, a o sezonowym wychodztwie kontynentalnym nie warto mówić, bo z natury swej jest tylko półśrodkiem. Z drugiej strony nie możemy przez emigrację osłabiać u siebie elementu polskiego. Najpierw niech się usuną z Polski zadomowieni, lecz uciążliwi cudzoziemcy — mam na myśli mniejszość żydowską. Wysiedlanie na obczyznę rodaków jest marnowaniem energji narodowej. Najlepszym terenem emigracyjnym dla ludności polskiej byłyby, rzecz prosta, własne kolonie. Gdzież tedy szukać tej ziemi obiecanej, skoro świat został podzielony między możnych w czasach, gdy my nie mogliśmy upomnieć się o swe prawa? Zerknijmy na wschód. Na potwornie wielkich przestrzeniach Z. S. R. R. siedzi na kilometrze kwadratowym 8 mieszkańców. Rosja azjatycka, ogrom przerastający Polskę powierzchnią czterdziestokrotnie, rozproszyła od Uralu do Oceanu Spokojnego mało co więcej, niż my od Karpat do Bałtyku, bo ledwie 36 milionów. Gdyby ten obszar, odjąwszy połowę na puste krainy arktyczne, zaludnić przynajmniej tak gęsto jak Polesie, to zmieściłoby się na nim jakieś 250 milionów. Pod tym względem półkula południowa nie różni się od północnej. Panowie świata nie mają materiału ludzkiego do zapełnienia swych niezmierzonych posiadłości, lecz zazdrośnie strzegą do nich dostępu.

Głoszone w Polsce hasła kolonialne świadczą pięknie o naszych mocarstwowych ambicjach, ale pamiętajmy, że darmo nikt nam kolonji nie da. Głupstwem jest żądać kolonji i zarazem głosić, że nie czatujemy na niczyją własność i że nie chodzi nam o terytorium suwerenne. Owszem, kolonie musimy komuś wydrzeć, czy też od kogoś w ostatecznej chwili wytargować, albo nie będziemy ich mieli nigdy. Z tego trzeba jasno zdawać sobie sprawę.

Marząc o koloniach nie należy zapominać o ziemiach leżących pod nosem, które przez wieki były domeną polskiego „Drang nach Osten", innego niż germański, a tak istotnego dla naszej linji dziejowej. Gdy po rozpadzie Rosji dokonana będzie przebudowa Europy Wschodniej, ten stary szlak naszej ekspansji znów stanie przed nami otworem.

* * *

Wzrost ducha żołnierskiego w naszem społeczeństwie, a zwłaszcza w młodem pokoleniu, należy do najpomyślniejszych objawów aktualnej rzeczywistości polskiej. Światowa koniunktura na militaryzm i pachnąca prochem atmosfera spełniły rolę katalizatorów procesu, którego nie da się mimo to wytłumaczyć przelotnymi nastrojami i samą chęcią podciągnięcia się do zawadjackiego tonu, który z tylu stron rozbrzmiewa. Kto wie, czy nie stoimy u progu głębokich przeobrażeń w psychice narodowej, które stać się mogą motorem doniosłych przemian w tej części Europy.

Gdzież są sygnały, które pozwalają na snucie tak zawrotnych perspektyw? — Pierwszym znakiem, jaki obserwujemy, jest niekłamany, nienarzucony kult armji, przenikający naszą świadomość zbiorową. To coś więcej, niż powierzchowna sympatja, pensjonarski podziw dla munduru i jego świecących akcesorjów, niż szablonowe zachwyty nad „dzielną postawą". Minął już urok nowości munduru polskiego, wytęsknionego w latach niewoli, witanego wzruszeniem o świcie wolności — i nie ma powodu tego żałować. Dziś nuta sentymentalizmu w stosunku do własnego wojska byłaby nie na miejscu. Do granicy wieku poborowego doszły roczniki urodzone w niepodległej Polsce, które innego, niż własne, wojska nie widziały i dla których armia jest naturalnym składnikiem organizmu państwowego.

Zaczynamy coraz lepiej i powszechniej rozumieć, czym jest dla nas posiadanie ramienia zbrojnego. Zaczynamy pojmować, że armia jest nie tylko „chlubą" od parady, że istnieje nie po to,.

by w święta patrjotyczne defilować dziarsko przed publicznością — ale po to, *żeby bić się i zwyciężać*. W armji widzimy gwarantkę naszej całości i niepodległości, pewniejszą, niż traktaty i przymierza, podporę naszego mocarstwowego stanowiska, decydujący w potrzebie czynnik ekspansji — realizatorkę naszych snów o potędze.

Tam, gdzie chodzi o armię, cichną wewnętrzne spory, po prostu dlatego, że wobec niej każdy Polak, niezależnie od swych przekonań i stempla partyjnego, czuje się niejako — żołnierzem. To też wokół armji ogniskuje się nie otrąbiona głośno, ale przecież najrealniejsza i najpożyteczniejsza konsolidacja.

W powszechnym głodzie autorytetu niezagubiony wśród „dekompozycji" instynkt społeczny zwraca się w stronę armji, reprezentującej istotną, niezmienną linję interesu państwa, niezależną od falowań na giełdzie politycznej. Gdzie rządy oficjalne schodzą do roli zmiennego odbicia układu sił, wytwarzanego przez koteryjne rozgrywki, tam ośrodkiem idei państwowej staje się — sztab. Ideę narodową naszej siostrzycy Francji mogła kiedyś skupić w sobie prosta dziewczyna z ludu, znana pod imieniem Dziewicy Orleańskiej, ale nigdy nie będą jej piastować panowie Blum i Chautemps.

Bardzo to dla nas szczęśliwie, że w Polsce armji przypadło być jedną z głównych ostoi patrjotycznej racji stanu i że gwiazdą pierwszej wielkości jaśnieje autorytet Naczelnego Wodza.

Zjedźmy na płaszczyznę faktów. Dzięki ścisłej współpracy wojska ze społeczeństwem realizuje się skutecznie zasadę, w myśl której — każdy obywatel jest żołnierzem. Przybywają świeże formy przysposobienia wojskowego, jak Legia Akademicka, Obrona Narodowa. Według projektu nowej ustawy o powszechnym obowiązku służby wojskowej przeszkolenie w pogotowiu obronnem ogarnąć ma dalsze kręgi ludności. Należy sobie życzyć, by ten ruch sięgnął jak najgłębiej i najszerzej. *Całe społeczeństwo polskie*, a szczególnie młodzież, *wychowane być musi w duchu militaryzmu.*

W wychowaniu młodych nie potrzebujemy naśladować wzorów obcych. Zadaniem naszej polityki „młodzieżowej" będzie wytworzenie polskiego typu organizacji o duchu żołnierskim. Przysposobienie wojskowe najmłodszych nie na tem ma polegać, by paroletnie pacholęta oblekać w mundury i wtajemniczać w regulaminy. Przesadą byłoby granatem ręcznym zastępować... grzechotkę. Nie w tem rzecz, by — jak to podejrzewać mógłby

jakiś jagnięco tkliwy humanitarysta — zamieniać szkołę w koszary i „budzić w niewinnych duszyczkach krwiożercze instynkty". Natomiast wielka rola spada tu na ćwiczenia cielesne, sport i pracę fizyczną, jako na czyniki, dające konieczny hart mięśni i nerwów.

Ciężar wychowania ideowo-moralnego musiałaby wziąć na siebie wspólnie z organizacją — szkoła. Nasze sfery pedagogiczne niech pomyślą o zlikwidowaniu hodowli nieproduktywnych zjadaczy posad i o wypracowaniu programu wychowawczego, opartego na surowych cnotach żołnierskich, na kształceniu charakterów w duchu głęboko, religijnie pojętej odpowiedzialności, kultu pracy i czynnej, radosnej postawy wobec życia.

Wychowanie militarystyczne! Wiem, że wzdrygną się w tem miejscu opętani pacyfizmem panowie intelektualiści, z wysokości kawiarnianego stolika spoglądający z niesmakiem na „pobrzękiwanie szabelką". Tendencje „pokojowe" nie wyginęły również w naszych sferach nauczycielskich. Pewien znany tygodnik dla dzieci drażliwość swoją na tym punkcie posuwa tak daleko, że w ilustracjach unika starannie nawet scen z polowań. Przed kilku laty czytałem w „Wiadomościach Literackich" recenzję tamtejszej specmanki od literatury dziecięcej o wierszowanym elementarzu Or-Ota. Z pianą na ustach donosiła owa dama, jak Or-Ot sączy w młodziutkie serduszka jad militaryzmu. Na „A" na ten przykład wali ten gorszyciel wierszyk o armacie. W elementarzu pani recezentki na „A" byłby, jak mniemam, aniołek pokoju.

Przysposobienie wojskowe nie może poprzestać na zwykłych formach praktycznego i teoretycznego wyszkolenia. Ruchem, który musi dosłownie objąć wszystkich, jest przysposobienie wojskowe w sferze psychicznej. Chodzi o to, by w duszy polskiej wytworzyć nieustanną gotowość wojenną. I o to, mówiąc najprościej, by najmizerniejszy z maluczkich, przyszły „nieznany żołnierz", wiedział nie tylko, jak ma się bić, ale i *o co* ma się bić. By to, czego ma bronić, czuł w sobie jako własne i najcenniejsze dobro.

Przygotowanie do obrony musi, jak słusznie powiedział Wł. Bączkowski, sięgnąć w dziedzinę metamilitarną (w artykule „Istota zagadnienia obronnego Polski" w „Myśli Polskiej" 1938 r. nr. 1). Nie wystarczą zbrojenia materjalne, jeśli nie będą dokonane zbrojenia moralne, napinanie woli zwycięstwa.

Wstrząs, wywołany wojną światową, wstręt i obawa przed nową „rzezią" wznowiły prawem reakcji marzenia o wiecznym

pokoju. Człowiek przeląkł się potęgi wynalezionych przez siebie narzędzi śmierci i w nieporadności swej poszedł drogą najmniejszego oporu, unicestwił wojnę schowawszy głowę w piasek. Propagandzie pacyfistycznej poświęciło się w dobrej wierze wiele szlachetnych jednostek, apostołów braterstwa ludów, łączących czystość pobudek i fanatyzm z naiwnemi wyobrażeniami o łatwości przerobienia natury ludzkiej i ze słabym wyczuciem gospodarczych i duchowych sprężyn dynamiki dziejów.

Ponieważ zachowanie pokoju zgadzało się doraźnie z interesem państw, pacyfizm stał się oficjalnym programem w stosunkach międzynarodowych. „Pokojowość" zaliczono do manier, obowiązujących dobrze wychowanego dyplomatę. Złotouści ministrowie spraw zagranicznych wygłaszają ciągle budujące mowy o równowadze europejskiej i pokojowych dążnościach swych rządów.

Bujnie krzewi się pacyfizm na gruncie fizycznego, zamaskowanego lęku przed cierpieniem. Utajony kompleks tchórzostwa buntuje świadomość przeciw oczywistości faktów, wróżących wojnę i rzuca ją w objęcia słodkich złudzeń o idyllicznej przyszłości. Jest to najbardziej materjalny — powiedzmy — zoologiczny pacyfizm, pacyfizm za wszelką cenę, uznający indywidualne, fizyczne życie ludzkie za dobro najwyższe. Ten kryć się może w podświadomości każdego z nas.

Pacyfizm, to najgęstsza zasłona dymna dla napastnika. To doskonały towar na eksport. Łatwo się domyślić, jak trudzą się obce agentury i wszystkie ciemne siły, by uśpić naszą czujność pacyfistyczną kołysanką.

Starcia zbrojne, których świadkami jesteśmy w ostatnich czasach i towarzysząca im akcja dyplomatyczna budzą humorystyczne skojarzenia z pokoikiem dziecinynm i przekomarzaniami na temat „to nie ja, to on zaczął". Ta podstawa doktrynerskich pacyfistów przypomina dziecinne „ my się w wojnę nie bawimy". Tymczasem, co nie trudno przewidzieć, wojna przyjdzie, mimo, że ktoś tam jej nie uznaje, protestuje, potępia... Negacja wojny przed wojną nie uchroni.

Czy pomstowanie na pacyfizm nie jest wyważaniem drzwi otwartych? Nie, bo mimo zmiany na lepsze nie przestały u nas prowadzić swej rozkładowej roboty pacyfistyczne jaczejki. A ponieważ szkodliwe, pseudohumanitarne tendencje przejawiają się najjaskrawiej na niwie wychowawczej, zapytajmy, *do czego* wychowuje się w Polsce pacyfistów? Będą to ludzie bez

przydziału. W naszych warunkach geopolitycznych nie ma miejsca na życie pod kloszem. *Polski nie stać na pacyfizm.*

Nie pacyfizm, powtórzmy raz jeszcze, ale jawny, szczery militaryzm jest nam potrzebny. Nasz militaryzm ma swą odrębną, szczytną tradycję — i na niej powinien się oprzeć. Żołnierz polski od odsieczy wiedeńskiej do wyprawy kijowskiej w 1920 roku był „kondotjerem wolności". Ta sama rola przypadnie mu w czasach, które się zbliżają.

Przywykło się mówić o rzeczach wielkich z wypiętą piersią, więc i gdy o wojsku mowa, podaje się potrawkę hurrapatrjotyczną, siekaninkę banałów. Ciężko się wyzwolić z pod tej tyranji pustych słów, a przecież o wojsku powinno się mówić w sposób tak prosty, jak prostym jest żołnierz, który w ogniu nie będzie stąpał na koturnach. Może właśnie ta nadętość sprawia, że nie doceniamy dostatecznie potężnej roli wychowawczej wojska, które jest niezastąpioną szkołą charakterów. Dopiero służba wojskowa na duszy i ciele młodego mężczyzny kładzie piętno prawdziwej dojrzałości. Coś z dostojeństwa pracy spływa na pełniącego swój trud żołnierza. Chwyta go niewypowiedziana duma i radość, jaką dać może tylko zwycięskie łamanie się z sobą. Dobry żołnierz nosi w tornistrze żelazną porcję humoru, największe przeciwności wita piosenką, a pokonywa cudowną młodzieńczą siłą, co każe mu z niepojętą, przekorną ochotą przyjmować najgorsze chwile.

„Coś z żołnierza powinno być zawsze w każdym Polaku" (Brzozowski). Żołnierz, w którym cnoty odwagi, dzielności i hartu dochodzą do najwyższego natężenia, powinien się stać ideałem wychowawczym dla szkoły i dla całego życia narodowego.

Bądźmy militarystami, nie z musu i naśladownictwa, lecz z wewnętrznej potrzeby, dlatego, że wolimy żołnierską, zdobywczą postawę od ustępliwości. Uczmy się myślenia agrestywnego: mamy armię nie tylko po to, by bronić się u siebie, ale i na to, by napaść z góry udaremnić.

Nie miejsce tu na snucie oderwanych rozstrząsań z dziedziny filozofji wojny oraz jej socjologicznych podstaw. Nie chodzi mi ani o pochwałę wojny, ani o wyklinanie pokoju. Warto jednak rozwiać złudzenia, zdemaskować zakłamanie, uczynić próbę rewizji obłudnego stanowiska w tych sprawach. Gotowość do wojny to nie zło konieczne, ale normalna postawa zdrowego i dzielnego narodu. *Walce zbrojnej zawdzięczamy niepodległość, przyszłej walce zbrojnej możemy zawdzięczać wielkość.*

Czy nie jest naiwnością roić o ludzkości, obracającej wszystkie swe wysiłki na postęp materjalny i kulturalny, obliczać, ile teatrów, przytułków i cudów techniki dałoby się zbudować, gdyby narody zamiast produkować pancerniki i gazy trujące poświęciły swe miljardy na te szlachetne cele! Dwie trącące myszką doktryny, jedna o wiecznym i odbywającym się mechanicznie postępie, druga o przyrodzonej dobroci natury ludzkiej, składają się na utopijny obraz przyszłego złotego wieku, pieszczony przez fałszywych optymistów. To mdły i prostacki ideał wygody i luksusu. Najpierw sześciogodzinny dzień pracy, potem praca dwugodzinna, a na koniec już tylko same automaty, my zaś położymy się brzuchem do góry, czyli, jak to się górnolotnie określa, poświęcimy cały swój czas na rozwój duchowy.

Spróbujmy ustalić ostateczne wnioski. Są do wyboru dwa stanowiska. Pierwsze, minimalistyczne, streszcza się w zdaniu, że pacyfizm, wieczny pokój, to ideały piękne i godne poparcia, militaryzm, wojna — to rzeczy szatańskie; niestety, smutna rzeczywistość może nas zmusić, wbrew przekonaniu, do uczesniczenia w tej zbrodni. Wyścig zbrojeń jest szaleństwem, lecz strach zmusza nas do udziału w tem szaleństwie. Komu zaś to połowiczne stanowisko nie wystarcza, ten odważa się przypuścić, że wojna jest czemś więcej, niż generalną jatką i imprezą na benefis fabrykantów broni. Ośmiela się podejrzewać, że wojna — o zgrozo — w harmonji świata nie jest wcale dysonansem. Może to wojna właśnie jest jakimś wiecznym „czuwaj'", które nie pozwala człowiekowi oddać się rozkoszom drzemki na przypiecku, ulec pokusie łatwego życia, zwodnemu „carpe diem", co drogą, usłaną różami, prowadzi do schyłku.

Wojna jest potęgą, której nie powstrzymają papierowe anatemy. Odsuwając na bok rozważania teoretyczne, jedno stwierdzić możemy z całą pewnością: pełna gotowość bojowa, to sprawa naszego być albo nie być. Gotowość bojowa nie będzie pełną, jeżeli będzie się ją traktować, jak przykrą, narzuconą przez warunki konieczność. W przyszłej, nieuniknionej rozprawie wojennej nie możemy być stroną, którą dopiero prowokacja zmusi do podjęcia oręża. W dziedzinie militarnej dopiero zmiana postawy z „musimy" na „chcemy" rozstrzygnie o naszej wygranej.

*Zygmunt Diehl*

# „Zdrada narodowa" Naszej Przyszłości a dzisiejsza rzeczywistość

Czytelnicy nasi i czytelnicy gazet codziennych pamiętają zapewne — a jeżeli już zapomnieli, to sami przypominamy — jak to trzy lata temu 18 polskich (i żydo-masońskich) dzienników rzuciło się na nas, a zwłaszcza na mnie osobiście, z pianą na szpaltach, wyciągając najpoważniejsze oskarżenia (z powietrza wzięte) i wyzywając od ostatnich słów za naszą zbrodnię (z palców owych redakcyj wyssaną).

Rozpoczął ten atak na łamach Kurjera Porannego wpływowy wówczas dziennikarz Wincenty Rzymowski, zdemaskowany wnet potem przez całą prasę jako bolszewik i plagjator. Poszedł jego śladem i przykładem starożytny Czas, artykułem oszczerczym pewnego hrabiego, który wnet po tem wyjechał do Hiszpanji na front czerwony i wróciwszy stamtąd wstąpił do pewnego pisma warszawskiego, którego charakter żydo-masoński jest od dawna ustalony, z akcydentalną nawet domieszką sympatyj probolszewickich.

Za tymi dwoma rozwrzeszczało się, jak papugi, kilkanaście innych dzienników i dzienniczków, z których wiele nie znało nawet inkryminowanego artykułu „Naszej Przyszłości", a nie jeden z nich nie widział wogóle naszego wydawnictwa nigdy na swe redaktorskie oczy. Co gorzej jeszcze, kilka dzienników, uważających się za poważne i które dlatego nie brały udziału w owej wyraźnie endecko - masońsko - bolszewickiej na nas nagonce, nie chciało zamieścić naszej odpowiedzi i sprostowania, wykręcając się perfidnie wymówką, że skoro nie biorą udziału w ataku, to nie mogą zamieszczać obrony.

Podobnie perfidnego skandalu prasa polska nawet w przybliżeniu nigdy przed tem nie przebywała i nigdy przed tem nie otwarła przed naszemi czyma podobnej otchłani kłamstwa, wykrętu i oszczerstwa.

A o cóż poszło?

Oto zamieściła Nasza Przyszłość przed trzema laty mój obszerny artykuł p. t. „Walka ze światem Marksa", który to tytuł sam przez się mówi o antybolszewickiej i antymoskiewskiej tendencji artykułu. Dla równowagi zamieściliśmy w tym samym tomie wydawnictwa artykuł antyniemiecki, pod okolicznościowym wówczas tytułem: „Honorowe odosobnienie", w którym tak mocne i zdecydowane zajęliśmy wobec Niemiec stanowisko, jak tego nie śmie robić po dziś dzień jeszcze żadna polska gazeta, nawet „I. K. C.", który ogranicza się do notowania i oburzania się na różne drobne incydenty i niesprawiedliwości reżimu hitlerowskiego wobec pogranicznych Polaków, ale integralnie właściwego niebezpieczeństwa niemieckiego odpowiedniemi kolorami nie maluje.

Oprócz tego w owym obszernym tomie „Naszej Przyszłości" i w kilku poprzednich poruszaliśmy wielokrotnie sprawę „kleszczy" niemiecko - rosyjskich, waliliśmy w boleszewizujących Czechów i podnosili coraz mocniej niezbędną konieczność wspólnej granicy polsko - węgierskiej.

Każdy więc uczciwy czytelnik „Naszej Przyszłości" musiał z naszych konsekwentnych publikacyj odnieść słuszne przekonanie, że stoimy twardo i mocno — bez względu na zmienne fluktuacje dnia politycznego — na stanowisku czysto polskiej racji stanu, ujętej wszechstronnie, objektywnie, z całą konieczną rozwagą. Zamieszczaliśmy też i zamieszczamy w dalszym ciągu bezkompromisowe artykuły w sprawie walki z wszelkiemi obcemi agenturami, rozpanoszonemi w kraju.

To wszystko nie podobało się oczywiście wielu dziennikom, z pozoru hałaśliwie — patrjotycznym, ale stojącym w najgłębszych swych fundamentach pod wpływami wszelkich obcych agentur. I dlatego redakcje ich, poczynając od filokomunisty Rzymowskiego, szukały konwulsyjnie jakiegoś, choćby wykrętnego pozoru, jakiegoś stylistycznie słabszego zwrotu w poszczególnych zeszytach „Naszej Przyszłości", aby ją na tym punkcie gremjalnym rykiem zaatakować, zniesławić i zniszczyć. Podobnego dziennikarskiego sprzysiężenia, dyrygowanego najoczywiściej przez batutę masońsko - bolszewicką, jeszcze w prasie polskiej w żadnej okazji nie było.

Otóż kto chce świństwo zrobić, ten znajdzie w końcu zawsze jakiś powód, czy choćby pozory powodu. Tak i w tym wypadku, naprężeni do skoku dziennikarze doszukali się: podchwyci-

li jakieś stylistycznie może nieco słabsze wyrażenie, czy zdanie z wymienionego na wstępie naszego artykułu „Walka ze światem Marksa“. O cóż w tym zwrocie naszym chodziło?

Oto, przedstwiając ówczesną grozę niebezpieczeństwa fizycznego i moralnego ze strony czerwonej Moskwy i doktryny komunistycznej wogóle i przedstawiając również niebezpieczeństwo niemieckie, a zalecając wskutek tego naszą, dobrze i wszechstronnie wielekroć uzasadnioną koncepcją Bloku dziewięciu państw mniejszych środkowo - wschodniej Europy pod egidą Polski, staraliśmy się wykazać naszym różnym przesadnim strachopuchom, którzy na samą myśl o Niemcu z bojaźni trzęsą się jak osiki, że niebezpieczeństwo niemieckie — jakkolwiek istnieje i wymaga szczególnej czujności i pogotowia z naszej strony — nie jest jednak już tak straszne, jak to sobie owe polskie strachopuchy wyobrażają. Niemcy bowiem rozumieją coraz lepiej, że zawojowanie i germanizacja dwudziestokilko - miljonowego, cywilizowanego i dobrze uświadomionego narodu byłyby dzisiaj niemożliwością. Dlatego dodaliśmy na końcu taki passus: „Przypuściwszy nawet, żeby Niemcom powiodło się w jakiś niespodziewany sposób Polskę zawojować, to cóż wynikłoby z tego? Oto zdławiliby się Niemcy śmiertelnie takim kęsem!“ Każdy, choćby przeciętnie inteligentny czytelnik, który uczciwie przeczytał (naprawdę przeczytał!) ten artykuł wraz z cytowanym zwrotem, zrozumiał z absolutną pewnością doskonale, że takie metaforyczne czy alegoryczne założenie miało z naszej strony tylko na celu uspokojenie przesadnych lęków polskich, które już wprost kompromitowały nas przed Niemcami.

Ale perfidja czynników masońskich i sowietofilskich czepiła się arcysprytnie paru wyrwanych końcowych słów powyższego naszego zwrotu, mianowicie: „to cóż wynikłoby z tego?“ Nie podając żadnego związku tego zwrotu z resztą zdania i z następnym zdaniem i z całym odnośnym ustępem artykułu, podniosły wymienione dzienniki polskie wrzask piekielny o rzekome zaprzedawanie Polski Niemcom przez Naszą Przyszłość. Wbijano z oszczerczą perfidją w umysły czytelników tych gazet, prorządowych i opozycyjnych, że Nasza Przyszłość, a zwłaszcza jej redaktor, lekceważy sobie fakt (?!) zawojowania Polski przez Niemców, skoro przecież pisze: „cóż wynikłoby z tego?“

W taki sposób, wybierając dowolnie, krająć i składając różne słowa i zwroty z artykułów i książek, najbardziej patrjotycz-

nych i katolickich możnaby bardzo łatwo zrobić każdemu ich autorowi niestworzone, najpotworniejsze zarzuty. Przypomina się, co już wówczas zacytowaliśmy w odpowiedzi, ów słynny dowcip o rozdzieleniu przez środek powitalnego, gratulacyjnego okrzyku dla wracających z wycieczki morskiej: „Dziękujcie Bogu, żeście bałwany — morskie szczęśliwie przepłynęli!" Gdy drugą połowę tego zdania opuścić, to z serdecznego powitania wyniknie oczywiście sroga impertynencja.

Otóż właśnie tak postąpiła z nami etyka świata dziennikarskiego, wystawiając sobie w naszych oczach niechlubne świadectwo. Teraz przynajmniej wiemy dokładnie, czego się trzymać i co warta jest moralnie owa „śiódma potęga", jak to przed wojną nazywano prasę, a raczej jak ona sama wówczas z dumą się nazywała. Wystarczy jeden cichy podszept jakiegoś chwilowo wpływowego przedstawiciela „obcych agentur", a „wodzowie opinji publicznej" rzucają się naoślep z krzykiem i oszczerstwem w danym kierunku, częstokroć nie zadając sobie nawet obowiązkowego trudu przejrzenia atakowanej enucjacji i sprawdzenia, czy w niej naprawdę coś złego stoi?

Ale mniejsza z tem! Wiadomo przecież, że niemal każdy wybitny i zasłużony Polak musiał przebyć okres, w którym pewna część rodaków, nieraz nawet spora, ogłaszała go za zdrajcę Ojczyzny, bo był im niewygodny z jakichkolwiek względów. Dlatego i my od tego czasu z uzasadnioną wyższością spoglądamy na różne kliki i tłumy tromtadrackich filistrów, dla których „orjentacji stada" wystarczy lada sprytny podszept pierwszego z brzegu bolszewika, czy masona, a zwłaszcza podszept braku własnej inteligencji — jeżeli nie coś gorszego jeszcze. Każdy bowiem czytelnik inkryminowanego artykułu Naszej Przyszłości i zarazem atakujących nas dzienników musiał dostrzec odrazu cały absurd tego ataku i że chodziło tu o proste, wyrafinowane oszczerstwo. Wszak jasnem jest, że ktoś, noszący moje nazwisko i moją tradycję rodzinno-polityczną, nie może publikować artykułu, w którym zalecałby sprzedanie Ojczyzny Niemcom!!! Zresztą prawdziwy zdrajca czyniłby taką rzecz pokryjomu, a nie chwaliłby się nią publicznie. Dlatego zła wola i perfidna, zakonspirowana chęć spotwarzania w opinji publicznej autora, zwalczającego zarówno tendencje rosyjsko-bolszewickie, jak i endecko - słowianofilskie (czyli także rosyjskie) oraz masońskie w pewnych sferach społeczeństwa polskiego — objawiła się w tym ataku aż nadto wyraźnie. I stąd cały ten atak — największy atak

prasowy, jaki od chwili wskrzeszenia Niepodległości przeciw komukolwiek był wymierzony — obryzgał nas wprawdzie chwilowo błotem drukarskiego czernidła, ale był zbyt głupi, aby nam mógł naprawdę zaszkodzić.

A Nasza Przyszłość tryumfuje teraz na całej linji, gdyż sprawdza się stopniowo i niemal dosłownie wszystko, co głosiła raz po raz od szeregu lat na swych szpaltach i co urabia i propaguje nasz Związek Polskiej Myśli Państwowej na swych większych i mniejszych zebraniach. I nie tylko sprawdza się to faktycznie, ale stwierdzają to nawtet już i gazety — „zapominając" jednak przy tem nadmienić, że takie a takie wypadki lub taka a taka koncepcja na arenie międzynarodowej została dawno przewidziana, sformułowana i zapropagowana przez Naszą Przyszłość. I na taki zanik pamięci cierpią nawet te gazety, które stale chełpią się, iż conajmniej od ćwierci wieku wszystko przewidziały i wyprorokowały, co sę dziś na świecie dzieje.

I tak przedewszystkiem podnoszą obecnie gazety, w pierwszym rzędzie „I. K. C.", stopniowe tworzenie się Bloku państw środkowo-wschodniej Europy, t. j. bałtyckich, Polski i naddunajskich. A przecież w listopadzie 1931 r. urządziła Nasza Przyszłość na ten temat, już wówczas wszechstronnie uzasadniony i sformułowany we wszystkich szczegółach, zebranie dyskusyjne w Resursie Kupieckiej w Warszawie, złożone z kilkudziesięciu poważnych osób. A potem propagowała tę koncepcję w długim szeregu własnych artykułów, a raz nawet w dwuch kolejnych artykułach wstępnych, zamieszczanych w Dzienniku Poznańskim w r. 1932.

Powtóre sprawa polsko - węgierska, stanowiąca również od szeregu lat specjalny skonkretyzowany odcinek naszej propagandy w ramach wyżej wspomnianej koncepcji Bloku. Pierwsi mieliśmy „odwagę cywilną" ogłosić publicznie w Naszej Przyszłości, w tysiącznych ulotkach oraz na licznem zebraniu obywatelskiem w Warszawie kategoryczne postulaty plebiscytów w państwie czesko - słowackim, wspólnej granicy polsko - węgierskiej i „żelaznej belki Warszawa — Budapeszt". Od kilku lat prowadzimy jawnie i bezkompromisowo propagandę tej sprawy, akcentując przytem dezyderaty polskiej racji stanu. I zapoczątkowaliśmy jeszcze znacznie przed wystąpieniem hitleryzmu na arenie niemieckiej wogóle. Dzisiaj, pod wpływem dążeń Hitlera i za podnietą bieżących wypadków oraz prasy zagranicznej, zaczyna nasza prasa referować nieśmiało te tendencje, przy-

czym zonwu nikt ani jelnem słówkiem nie poczuwa się do prostego bowiązku wspomnienia o naszej inicjatywie.

A sprawa ruska? Przecież i tu także sformułowaliśmy na podstawie zarówno historycznej, jak i praktycznego doświadczenia z kontaktu z Ukraińcami, od szeregu lat koncepcję „historycznego Rusina" i wogóle zmiany nomenklatury „ukraiński" na „ruski". Szereg zebrań i długi szereg artykułów w naszem wydawnictwie był oddawna temu ważnemu zagadnieniu poświęcony wraz ze wskazaniem nowej, praktycznej polityki, jaką w sprawie ruskiej z żelazną konsekwencją stosować należy. I oto od pewnego czasu nazwa Rusin zaczyna się w Polsce i w niektórych sferach ukraińskich ustalać, różne polskie gazety zaczynają tego terminu stale używać, niektóre nawet już od twóch lat. Wszystkie one otrzymują Naszą Przyszłość i chociaż oporne lub pozornie lekceważące zajmują wobec niej stanowisko, to jednak wiemy, że ją czytają, bo wprawdzie przemilczają nas z reguły, nie mniej jednak co pewien czas zamieszczają o nas niekorzystne wzmianki—wyłącznie tylko niekorzystne. Tak więc nie podobna, żeby nie znały naszej ideologji i wskazań w sprawie ruskiej — a jednak nie wspominają nigdzie zgodnie z prawdą, że nowy zwrot w tej sprawie z naszej powstał inicjatywy.

I tak dalej — nie chcemy tu mnożyć charakterystycznych przykładów. Niech starczą trzy powyższe.

Ale te właśnie trzy wielkie przykłady, które składają się mniej-więcej na całokształt polskiego programu w polityce zagranicznej i mniejszościowej i które zaczynają stopniowo się realizować, tworzą razem pewną planową atmosferę i orjentację trzeźwej polityki i zarazem ducha ofenzywy, niezbędnego dla wskrzeszonej i wyzwolonej zupełnie nawet z psychicznych więzów zaborczych. Zdecydowane nastawienie antyrosyjskie w każdych warunkach, a w konsekwencji także antyczeskie, prężność chwytania stanowczą ręką wszystkiego, co Polsce ewolucja dziejowa przyniesie. realne dążenie do mocarstwowości, wybór Węgrów, jako naszych głównych sprzymierzeńców i wreszcie ewentualność suwerennego porozumienia z Niemcami tam wszędzie, gdzie to dla nas na dobrze wymierzoną metę przedstawiać może korzyści — oto nasz „męski" światopogląd, przeciwko oczywiście miękkiemu, łzawemu, rzec można wprost „kobiecemu" programowi słowianofilów wszelkiego kalibru, którzy z wojenną pomocą rosyjsko-czesko-bolszewickich „pobratymców słowiańskich" chcieliby kiwać srodze palcem w bucie na Berlin.

Rzecz inna, że na poszczególne polakożercze pociągnięcia i zamiary niższych władz i prywatnych czynników niemieckich winniśmy wzmocnioną dawać odpowiedź. Za każdego gnębionego w Niemczech Polaka, winno się odpowiedzieć dotkliwym zgnębieniem pięciu Niemców w Polsce. Taksamo zdecydowany kres położyć należy akcji finansowo-gospodarczej Niemców polskich, zarówno na naszych kresach zachodnich jak i wschodnich, o ile jest widocznym, że akcja ta wychodzi poza uprawnienia obywatela Państwa Polskiego, a zwraca się przeciw nam i stanowi awangardę Drangu nach Osten. W tej prawdziwie arcyniebezpiecznej dziedzinie srodze jeszcze grzeszymy opieszałością i dziwną bojaźnią. Żaden Hitler nie wziąłby nam za złe, gdybyśmy z bezwzględną surowością sparaliżowali akcję tego rodzaju. I zwłaszcza skandalem jest polska miękkość, tym razem iście „słowiańska", która toleruje, że nie jeden Niemiec z polskiego Pomorza odbywa w Niemczech służbę wojskową.

Oto szerokie pole dla celowej, twardej akcji antyniemieckiej. Natomiast w wielkich, ogólnych sprawach politycznych porozumienie z rządem Rzeszy hitlerowskiej jest dla Polski niezmiernie cennym atutem, który winien być przez nas odpowiednio wykorzystany, zamiast uprawiania zasadniczej, a tchórzliwej germanofobji.

Nie pisaliśmy nic podobnego w inkryminowanym przed dwoma laty przez naszą hurrapatrjotyczną prasę artykule. Atak ówczesny był stuprocentowem oszczerstwem. Ale zato dziś, na tem miejscu, piszemy jasno i wyraźnie, czego w sprawie niemieckiej żądamy tak pod względem negatywnym, jak i pozytywnym. I drwimy sobie zgóry z ewentualnych ponownych ataków, nawet z tych, które nasze niniejsze, dokładnie sformułowane stanowisko w kwestji czeskiej, węgierskiej i niemieckiej będą usiłowały — złym obyczajem publicystycznym — zdeformować lub perfidnie przekręcić.

Jedną jeszcze niezbitą prawdę polskiej racji stanu stwierdzamy tu przeciw wszelkim strachopuchom, słowianofilom lub bojaźliwym germanofilom: że mianowicie odtąd w miarę terytorjalnego rozszerzania się Niemiec musi bezwzględnie i Polska rozszerzać się terytorjalnie i wzmacniać nowymi nabytkami mniejwięcej proporcjonalnie do wzrostu Niemiec. I jeżeli zdarzy się, że wzrost ten Polski będzie mógł się odbyć np. kosztem pewnej części Czech (za wyjątkiem oczywiście przynależnej kompleksowi krajów Korony Św. Szczepana Słowacji i Rusi Zakarpackiej), to niech łzawi słowianofile nasi powiedzą sobie, że armja Polska

musi pójść naprzód i wytyczyć nam odpowiednio szerokie „słowiańskie“ granice, gdyż inaczej cały świat uznałby nas w prawdzie za wzorowe dzieci, ale też i wyśmiałby się z nas w kułak, jako z naiwnych dzieciaków! Z głębokiem więc przekonaniem, że dobrą drogę przemyślał sobie i obrał od dawna nasz Związek P. M. P. i nasze wydawnictwo, pójdziemy i nadal niewzruszenie w imię prawdy historycznej i prawdziwej polskiej racji stanu, nie bacząc na wszelkie oszczerstwa, plotki i przygodne objawy pozornego lekceważenia, jakich nie szczędzą nam różni naiwni polscy tromtadraci lub niewolnicy krótkowzrocznych orjentacyj, mając natomiast potężnego sprzymierzeńca przy boku, jakim jest — życie.

*Jan Bobrzyński*
jako wydawca „Naszej Przyszłości“
i prezes Związku Polskiej Myśli Państwowej.

Właśnie ukazał się z druku XXIII tom kwartalnika Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Lwowie, ul. Akademicka 21. Numer ten obejmuje następujące rozprawy: dra Jana Karola **Sondla** pt. „Jan Stecki", Ankietę Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego w sprawie „Wolny handel czy autarkia", zawierającą uzasadnienie ankiety oraz głosy pp. dyr. Wacława **Fabierkiewicza,** prezesa Bogusława **Hersego,** red. Witolda **Ptaszyńskiego,** min. Henryka **Strasburgera,** prof. Czesława **Strzeszewskiego,** dra Kazimierza **Studentowicza,** min. Juliusza **Trzcińskiego,** i prof. Leopolda **Caro,** wreszcie rozprawę posła Brunona **Sikorskiego** pt. „Fragmenty polskiej polityki gospodarczej". Nadto tom ten zawiera zwykłe rubryki: Z kraju i ze świata oraz 14 recenzyj.

Redaktor: prof. Leopold **Caro,** Lwów, ul. Akademicka 21.

Prenumerata „Przeglądu Ekonomicznego" w kraju zł. 15.—, zagranicą zł. 20.—, tom pojedyńczy w handlu księgarsgim zł. 4.—.